Nr. 191. Lwów — Czwartek dnia 22 Sierpnia. Rok 1907.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.

Przedpłata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi ćwierćrocznie [illegible] w Niemczech [illegible] w innych Państwach [illegible] Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible]

Ogłoszenia [illegible] zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i balów prywatnych, reklamy dla balów, teatrów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, o znalezionych przedmiotach [illegible] za wiersz.

Ogłoszenia i przedpłatę na Przegląd przyjmuje wyłącznie: [illegible]

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible] W drobnych ogłoszeniach: [illegible] korespondencye prywatne [illegible] Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible] Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: św. Filiberta Op. — Mateusza Ap.
Jutro: św. Filipa B. — Wawrzyńca B.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o godz. 4 min. 35
Zachód „ „ 6 „ 16

Długość dnia godzin 13 min. 41
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Czas odnowić przedpłatę!

Wynosi ona na prowincyi:
miesięcznie 2 K. 20 hal.
półrocznie 13 „ 20 „
rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

Kto winien?

Polityka, a jeszcze bardziej taktyka Koła polskiego w drugiej dumie rosyjskiej spotkała się zrazu z nieśmiałą, potem zaś z coraz wyraźniejszą krytyką naszego społeczeństwa. Ponieważ Koło składało się niemal wyłącznie z członków stronnictwa narodowej demokracyi, przeto, naturalnie, krytyka dotknęła tę partyę: odwrócili się od niej Polacy na Litwie i Białorusi, a stworzyli nowe stronnictwo, które nazwali krajowem; to samo niedawno postanowili uczynić nasi wyborcy na Wołyniu, Podolu i Ukrainie; w samem Królestwie Polskiem, gdzie narodowa demokracya jest wszechmocna, nie zdołano przeprowadzić żadnej nowej organizacyi, ale zniechęcono się do wyborów, machnięto na wszystko ręką i tylko coraz głośniej utyskiwano. Zrobiono więc to, co mogło być najgorszego. Oczywiście narodowa demokracya zaczęła się bronić. W jej głównym organie *Gazecie Codziennej* (bo tak się od niedawna nazywa *Gazeta Polska*) ogłoszono szereg artykułów, dowodzących, że winno nie owo stronnictwo, lecz rząd rosyjski, biurokracya, wpływy zagraniczne, no, i w końcu... nasza żywotność! *Gazeta Codzienna* tak między innemi pisze:

„Utrzymać się długo na wysokim poziomie moralnym pewnej bezinteresowności jest dość trudno, nic przeto dziwnego, że pisma nasze, jedno za drugiem, zaczęły zstępować z tego piedestalu: zaczęło się krytykowanie Koła polskiego i stronnictwa demokratyczno-narodowego, krytykowanie tem łatwiejsze, że to stronnictwo, jako przeważające w czasach ostatnich w naszem społeczeństwie, siłą polityczną wysunięte na front życia publicznego, łatwo było czynić odpowiedzialnem za wszystkie środki represyjne, skierowane przez rząd przeciw społeczeństwu polskiemu“.

A dalej *Gazeta Codzienna* tak jeszcze się wyraziła: „W dobieraniu zarzutów przeciw Kołu polskiemu okazuje się coraz mniej wybredności umysłowej i skrupułów moralnych. Bierze się po prostu oskarżenia, podniesione przez rosyjskie sfery biurokratyczne przeciw izbie państwowej (dumie), dodaje się odpowiednią ilość frazesów patetycznych i — akt oskarżenia przeciwko Kołu polskiemu jest gotowy!“

Nie wiemy, kto tak postępował. Jeżeli ktoś taki się znalazł, to w każdym razie podobną odpowiedzią nie można zbywać krytyki, z którą wystąpiło całe społeczeństwo. Ono ma prawo żądać rachunku od narodowej demokracyi, jak od każdego zgoła stronnictwa, czy polityka, któremu powierzyło kierowanie swym losem. Rachunek zdać trzeba bez przekomarzania się, bez pieniactwa, nawet w takim razie, gdy forma zarzutów wydaje się obraźliwą. Nikogo nie przekona jęk, że oto „w zarzutach coraz mniej wybredności umysłowej i skrupułów moralnych“, bo gotów ktoś powiedzieć, że *Gazeta Codzienna* sama grzeszy tą niewybrednością i tym brakiem skrupułów. Bo rzeczywiście, jaki interes własny, stronniczy, niewybredny, pozbawiony skrupułów może mieć społeczeństwo w krytykowaniu swej delegacyi do dumy? Oczywiście, takiego interesu mieć nie może. Natomiast demokracya narodowa może się kierować interesem stronniczym, chęcią uniknienia niełaski społeczeństwa.

W następnym artykule o tej sprawie *Gazeta Codzienna* tak pisze: „Jeżeli nam chodzi o istotnego winowajcę ciosów, które spadają na nasze społeczeństwo, jest nim ujawniona właśnie w ostatnich czasach zdolność do życia i do rozwoju narodu naszego“. Oto epokowe odkrycie! Nie szukajmy winowajcy! Jest nim sam naród, sam oskarżyciel narodowej demokracyi. Gdyby nie był zdolny do życia i rozwoju, to nie spadałyby nań ciosy, a narodowa demokracya przywiozłaby mu z dumy — autonomię! Komu? Trupowi? Wolne żarty! Lecz odpowiedzmy *Gazecie Codziennej* poważniej, niż zasługuje jej teorya.

To pewna, że odporność i żywotność nasza jest niedogodna dla wielu sfer i interesów, oraz że te sfery i interesa wszelkimi środkami zdawna pragną nas uśmiercić. Wiemy o tem od bardzo dawna, właściwie od czasu, jak powstały niepodległe Prusy na naszej zachodniej granicy. Jeżeli *Gazeta Codzienna* ma na myśli tylko naszą porozbiorową odporność i żywotność, to i one nie są nowością; bynajmniej się nie ujawniły dopiero w „ostatnich czasach“. W Galicyi i Poznańskiem występują one stale i coraz silniej od czasów konstytucyjnych; w zaborze pruskim wciąż się potęgują w miarę wzrastającego ucisku; od pół wieku rosną na zgermanizowanym Szląsku. Wreszcie pod rosyjskim zaborem „ujawnienie się“ naszej odporności i żywotności nastąpiło wtedy, gdy to stało się możliwem, t. j. gdy tam stało się nieco swobodniej, ale odporność i żywotność zawsze były, bo inaczej pocóżby istnieli Hurko, Apuchtin, Czertkow i tysiące innych? Można więc zastanawiać się nie nad tem, czy były odporność i żywotność, lecz jedynie nad tem, jak się one „w ostatnich czasach ujawniły“. Otóż ujawniły się tak, jak chciała narodowa demokracya, bo ona — jak przyznaje *Gazeta Codzienna* zgodnie z prawdą — jest stronnictwem „przeważającem w ostatnich czasach w społeczeństwie naszem i siłą polityczną, wysuniętą na front życia publicznego“. Chodzi więc o zbadanie, czy ciosy, które teraz spadają na nasze społeczeństwo, nie są następstwem roboty narodowej demokracyi? Na to powinna ona odpowiedzieć, a niestety, ona tego nie czyni.

Jednakże taka rozprawa jest konieczna, — oczywiście nie dla sądów i wyroków, jeno dla pożądanego oświetlenia przyszłej politycznej drogi, w szczególności dlatego, aby z dobrem zrozumieniem sytuacyi ogół mógł stanąć do wrześniowych wyborów do trzeciej z kolei dumy. Już nie 36-ciu, ale tylko 11-tu posłów wyszle Królestwo: niechże więc przynajmniej wyszle najznakomitsze umysły! Oczywiście, rozprawa o sytuacyi, która się wytworzyła, o stronnictwach i ich działalności, nie jest łatwą i do niczego nie doprowadzi, gdy jedni zechcą tylko błędy innym wytykać, a ci inni nie zechcą przyznać się do żadnego błędu, lecz poczną oskarżać krytyków o nizki moralny poziom, o niewybredność umysłową, o brak skrupułów. Potrzeba, żeby jedni wyparli się ambicyi, żeby inni sądzili rzecz, a nie ludzi, żeby wszyscy umiłowali sprawę publiczną: wtedy dopiero rozprawa będzie korzystna, droga przyszłej polityki i taktyki jasno się oświetli i już błędów, przynajmniej rażących, nie będzie.

„Kto winien?“ — to wiemy już wszyscy. Winni oczywiście nasi najserdeczniejsi z zachodu i wschodu; szkodzić nam, to ich zadanie, wynikające z ich interesu; po to oni są, aby pilnowali swego dobra, a nie naszego. Lecz winni jesteśmy my, żeśmy niedość mieli to na oku i odpowiednio nie dostrajaliśmy naszej taktyki. Winni jesteśmy także wielu innych rzeczy: samochwalstwa, które zrażało Rosyan do Koła polskiego w dumie, chwiejności, krzykactwa w kraju i lubowania się w fajerwerkowych frazesach, wymachiwania drewnianemi szabelkami, brakiem odwagi cywilnej, bo któż w Królestwie w porę wskazywał omyłki Koła polskiego? Nikt!

Teraz więc trzeba pytanie tak postawić: nie kto winien, ale co winno? Kwestya, tak postawiona, nikogo nie rozdraźni, nie wprowadzi do kraju wewnętrznej waśni, rozprawie zapewni spokój i przedmiotowość, a w rezultacie może nam wskaże, jak dobrze przeprowadzić wybory, jak powstrzymać spadające ciosy?

Niemcy a Francya.

Politycy berlińscy usilnie zabiegają teraz o naprawę niemieckich stosunków z Francyą. Taką dążność już dawno wdrożył cesarz Wilhelm, a teraz naśladują go wszyscy, zaczynając od kanclerza, a kończąc na hotelarzach: wszyscy i wszędzie w Niemczech korzystają z każdej sposobności, aby się przypodobać wrażliwym na grzecznostki Francuzom. Kanclerz stale trzyma przy sobie p. Juliusza Huret, korespondenta *Figara* i codzień opowiada mu coś takiego o Francyi, jej urządzeniach, teatrach, powieściach, obrazach, koloniach i ideach, co następnie powtórzone w *Figarze* musi przyjemnie łechtać Francuzów. Raz kanclerz rzekł do p. J. Huret: „Narody, tak samo jak ludzie, muszą pierwej się poznać, aby potem się szanować, a w końcu się zaprzyjaźnić. Teraz jest między Francyą a Niemcami „detente“, a potem będzie „entente“. Jeszcze parę lat i... zobaczy pan! Tylko trzeba ogromnego taktu, umiarkowania i cierpliwości. Pan widzi, jak w Niemczech sympatyzują z Francuzami... Szyller mówił, że lądy będą należały do Francyi, morza do Anglii, a Niemcom pozostanie filozofia. Otóż myśmy spostrzegli, że filozofia to za mało pożywna strawa w naszym surowym klimacie i także zapragnęliśmy trochę morza i trochę zamorskich lądów. Stąd gniew angielski i francuski na nas. Ale już Anglia się przekonała, że z nami żyć można. Zapewniam pana, że na polu ekonomicznem możemy z Francyą zrobić ogromnie dużo dobrego dla niej i siebie“.

We Francyi z przyjemnością słuchano takich kanclerskich wynurzeń, zwłaszcza, że w nich były podziwy dla francuskiego geniuszu, a pochwały dla francuskiej armii, oczernianej przez niektórych jej własnych jenerałów, którzy nawet podali się do dymisyi, aby się uwolnić od odpowiedzialności za fatalną dezorganizacyę. Wtem pojawiła się w Paryżu broszura p. t. „Le coup de Massue“ (Uderzenie maczugą), napisana przez jakiegoś Auboeuf. Oczywiście, to pseudonym, a że pisze o wojskowości, o mobilizacyi, przeto niewątpliwie jenerał, i to znakomity, bo pisze, jak nikt. Usposobienie Francuzów zmieniło się tak nagle, że dotknęło to Niemców. Zaczęli oni dokładnie rozbierać broszurę Auboeufa.

Spojrzmy na nią.

„Dlaczego nasi wschodni sąsiedzi zabiegają o nas?“ — zapytuje autor i nie czeka na odpowiedź, bo ma gotową; „Bośmy od nich silniejsi!“ — woła. „Nie łatwo im było pokonać nas trzydzieści sześć lat temu, chociaż przeciwko naszym 200.000 piechoty wystawili oni 415.000. W przyszłości stosunek liczby sił wojujących będzie zgoła inny, a to z następujących powodów:

Wprawdzie ludność francuska jest o 20 milionów mniejsza od niemieckiej, ale procentowy stosunek mężczyzn do kobiet i osób zdolnych do noszenia broni do niezdolnych korzystniejszy we Francyi niż w Niemczech. Na 12 osób ludności niemieckiej jest ośm francuskiej, lecz na 12 Niemców jest 9 Francuzów, a na 12 Niemców, będących w wieku wojskowym (od 21 do 45 roku życia) jest tyluż, tj. 12 Francuzów w tym samym wieku. W ten sposób, zmobilizowawszy wszystko, Niemcy mogą wystawić 4,760.500 żołnierzy, a Francya 4,750.600. Cyfry te prawie się równoważą. Lecz przewaga przechodzi na stronę francuską, gdy się porówna szybkość mobilizacyj i ich metody, zależne od geograficznego kształtu kraju, sieci kolejowej i podziału rezerw. W rezerwach francuskich jest 1,475.000 ludzi, a w niemieckich 1,422.000. W ciągu 12 dni po wypowiedzeniu wojny Francya wystawi 935.000 piechoty, 50.000 jazdy i 2.912 armat, Niemcy zaś 790.000 piechoty, 46.000 jazdy i 3.316 armat.

Rolnictwo francuskie stoi wyżej od niemieckiego. Francya będzie się żywiła własnem zbożem i mięsem, choćby wojna trwała lat kilka, natomiast własnych produktów, oraz możliwych dowozów austryackich i rosyjskich wystarczy na przekarmienie 60-ciu milionów Niemców tylko na 370 dni, potem zaś nastanie głód, jeżeli porty będą blokowane. A jak uczy kampania rosyjsko-japońska, przyszłe wojny będą trwały długo. Wreszcie Francya znacznie bogatsza od Niemiec, kredyt jej ogromny i niezależny od zagranicy, a pieniądz zawsze jest największym zwycięzcą.

Z tych wszystkich powodów — kończy p Auboeuf — Niemcy długo będą się namyślały zanim zaczepią Francyę.

Być może, że tak będzie, ale tymczasem z powodu broszury p. Auboeufa oni zaczęli się namyślać nad reformą swego systemu mobilizacyjnego.

Korespondencye.

Wiedeń 20 sierpnia.

(Z kroniki sądowej. „Napój miłosny“ za 40.000 koron. Nikt nie może mieć dwóch ojców. Trzynastoletni morderca.)

(y). Najwyższy Trybunał kasacyjny rozpatrywał wczoraj zajmującą sprawę, rzucającą charakterystyczne światło na łatwowierność niektórych ludzi. Jako poszkodowana, występowała zamieszkała w Chebie panna Anna H., osoba blisko czterdziestoletnia, od której pewna kabalarka wyłudziła cały jej majątek pod pretekstem, że dostarczy jej środka, za pomocą którego będzie mogła ona przykuć do siebie każdego mężczyznę, jaki tylko jej się spodoba. Leciwa panna, której sprzykrzyło się już życie samotne, dała się złowić w te sidła sprytnej oszustce i dziś nie ma ani męża, ani majątku. Przebieg tej zajmującej sprawy jest następujący: Panna Anna H. odziedziczyła przed kilku laty po swej ciotce 40.000 koron i ulokowała tę sumę w Kasie oszczędności miasta Chebu na książeczkę. Z procentów od tego kapitału, tudzież z pracy swej, jako krawczyni, miała takie dochody, iż mogła prowadzić życie bardzo wygodne i na niczem jej nie zbywało. Na swoje nieszczęście zaprzyjaźniła się jednak z kabalarką Sabiną Braun, która widząc, że najgorętszem marzeniem Anny H. jest wyjść za mąż i stworzyć sobie własne gniazdo rodzinne, postanowiła wyzyskać tę słabość swej przyjaciółki. Jakoż zaczęła jej opowiadać niestworzone rzeczy o pewnej cygance, posiadającej jakoby niezawodny środek na rozkochanie i ujarzmienie mężczyzn. Wedle zapewnienia chytrej kabalarki środek ten działa tak niezawodnie, że przy pomocy jego stare panny, mające po pięćdziesiąt kilka lat i do tego brzydkie, dostały młodych, przystojnych i bogatych mężów, z którymi są dziś najszczęśliwsze. Temi opowiadaniami tak rozogniła wyobraźnię samotnej panny, że i ona postanowiła spróbować koniecznie tego niezawodnego środka i w tym celu dawała jej bezustannie pieniądze na wyszukanie owej cyganki i sprowadzenie owego cudownego eliksiru miłosnego. Kabalarka, zaopatrywana w pieniądze przez Annę H., odbywała ustawicznie podróże po całej Europie, poszukując wrzekomo owej cyganki, którą niesłychanie trudno było znaleźć, gdyż stare panny i wdowy rozrywały ją wprost między sobą. Powróciwszy z jednej takiej podróży, odbytej do Berlina, rzekła kabalarka, że nareszcie udało się jej zobaczyć się z ową cyganką i że wszystko idzie dobrze, lekarstwo na ujarzmienie mężczyzn będzie niebawem gotowe, lecz przedtem musi ona zawieźć cygance do Berlina jeden włos Anny H. i kawałek materyi, wycięty z jej sukni. Uszczęśliwiona panna dała kabalarce i żądany włos i kawałek sukni i zaopatrzywszy ją równie w pieniądze na drogę, czekała. Dopiero po kilku tygodniach wróciła kabalarka, oświadczając, że znów sprzątnięto jej z przed nosa cygankę i że wyjechała ona, niewiadomo dokąd. Cały rok odbywała kabalarka tego rodzaju podróże i odgrywała komedyę i wyłudziła w tym czasie prawie cały majątek biednej panny. I byłoby to jej uszło bezkarnie, gdyby nie to, że dyrekcya chebskiej Kasy oszczędności, której urzędnicy znali pannę Annę H., jako osobę bardzo pracowitą i oszczędną, sama zrobiła doniesienie do policyi, iż widocznie ktoś musi wyłudzać pieniądze od niej, skoro w ciągu jednego roku od września 1905 do października 1906 r. depozyt jej, ulokowany w Kasie, zmalał z 40.000 koron na 150 koron. Zawiadomiona o tem, prokuratorya zarządziła uwięzienie kabalarki i oskarżyła ją o oszustwo. Przysięgli uznali ją winną, a trybunał skazał ją na siedm lat ciężkiego więzienia. Przeciw temu wyrokowi wniosła kabalarka zażalenie nieważności, ale najwyższy Trybunał odrzucił je i potwierdził wyrok pierwszej instancyi.

— W innej sprawie, rozsądzonej przez najwyższy Trybunał, zapadł wyrok, którego kwintessencyą jest zdanie, iż nikt nie może mieć dwóch ojców. Pewna mieszkanka bowiem miasteczka Atzenbrugg, mająca trzyletniego nieślubnego synka, wpadła na pomysł zaskarżenia do sądu równocześnie dwóch mężczyzn o ojcowstwo i alimenta dla tego dziecka. Jeden z tych procesów załatwiono w ten sposób, że pozwany zawarł ze skarżącą protokolarną ugodę przed sądem, w której przyznał się do ojcowstwa i zobowiązał się płacić pewną kwotę miesięczną na utrzymanie dziecka. Równocześnie jednak wydał sąd także na drugiego pozwanego wyrok, skazujący go na płacenie alimentów. Skazany wniósł przeciw temu wyrokowi odwołanie i ostatecznie sprawa oparła się o najwyższy Trybunał, który zniósł ten drugi wyrok i uwolnił skazanego od płacenia alimentów. W motywach tego wyroku podniósł najwyższy Trybunał, że skoro ów pierwszy pozwany przyznał się przed sądem do ojcowstwa, to tem samem sprawa jest definitywnie załatwiona i nie można wnosić nowych skarg o ojcowstwo przeciw innym osobom, gdyż nikt nie może mieć dwóch ojców.

Przed sądem powiatowym w Wolkersdorfie stawał trzynastoletni chłopak szkolny Ferdynand Frank, oskarżony o usiłowane morderstwo. Z zemsty bowiem za to, że go sąsiadka skarciła, zaczaił się on wieczorem pod oknami jej mieszkania i strzelił do niej z rewolweru, raniąc ją w rękę. Mąż zranionej puścił się za nim w pogoń, mały zbrodniarz jednak odstrzeliwał się i groził, że zabije każdego, kto się doń zbliży. Ponieważ przestępca nie ma jeszcze czternastu lat, przeto nie można było oskarżać go o zbrodnię i tylko za przekroczenie skazał go sędzia na miesiąc zamknięcia.

Orędzie X. Arcybiskupa Bilczewskiego.

„O Kościele Chrystusowym“ — pod tym tytułem pojawiło się świeżo w druku dzieło rozmiarami niewielkie, ale wielkie bardzo treścią. X. Arcybiskup Bilczewski jest jego autorem, jeżeli autorem godzi się nazywać Pasterza, mówiącego z katedry duchownej władzy do wiernych. Dzieło to bowiem, jakkolwiek pojawiło się na półkach księgarskich i sprzadawane jest na dochód budowy katolickiego „Domu robotniczego“ we Lwowie, nie jest zwykłą rozprawą, ale Listem pasterskim, którego część znaczna, a mianowicie rozdziały od I do IV pojawiły się już były przed kilkoma miesiącami, jako całość zamknięta stanowiąca List pasterski, a obszerny rozdział V zatytułowany „Obowiązki względem Kościoła“ został dodany świeżo we właśnie co oddanem na półki księgarskie wydaniu książkowem owego orędzia x. Arcybiskupa Bilczewskiego. Owe pierwsze cztery rozdziały znają już Czytelnicy nasi z artykułów, ogłoszonych w swoim czasie w *Przeglądzie*. Dzisiejszy więc artykuł wypada nam poświęcić tylko nieznanemu jeszcze rozdziałowi piątemu.

„Wszystko badać, aby potem tylko to, co dobre, przyjąć i zachować“ (I. Tess. 5. 21.) — tę radę apostoła przyjął X. Arcybiskup za myśl przewodnią całego swego orędzia, od niej też nie ustępuje i w rozdziale ostatnim. Za pomocą szczegółowego badania wykazuje, że jedynie Kościół katolicki posiada: apostolskość, jedność i powszechność — a zatem jest jedynym Kościołem Bożym. Od tych wywodów dopiero przechodzi Dostojny Autor do omówienia obowiązków naszych wobec Kościoła. Gdyby

65)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka.*

(Ciąg dalszy).

Jakób się uśmiechnął, ale czuł się nieco wzruszonym.

— Tybyś się nawet za mnie nie modlił... Ty nie wierzysz... Niedobry! Jakżebym była szczęśliwa, dumna, gdybym kiedyś mogła cię do wiary doprowadzić.

Margrabia di Vharé wyszedł odmłodzony. Zdawało mu się, że młodość serca mu wróciła i czuł zadowolenie sumienia, że tę kobiecinę oszczędził. Była taka naiwna, a jemu tak droga! Zapewne, że... prędzej czy później... nie zechce pozostać śmiesznym; ale dlaczegoż miał się śpieszyć, by zniweczyć cały ten urok w oddaniu mu się serca i zmysłów, ktore powoli zwyciężą rozsądek... i obawy?... Wreszcie skarżyć się nie mógł; i tak postąpił już naprzód....

Było rzeczywiście prawdą, że księżniczka w Borghignano kochała o wiele więcej, lub też lepiej margrabiego, aniżeli kochała go w Rzymie. Ale jeżeli w Rzymie Vharé był tylko epizodem w eleganckiem życiu Lalli, natomiast w Borghignano był jego głównym czynnikiem. W tem życiu jej obecnie cichem i spokojnem, bez rozrywek, Lalla częściej Jakóba wspominała, widziała go wśród tego prowincyonalnego świata jeszcze bardziej różnym od innych i bardziej ponętnym. I dlatego też jeszcze go więcej kochała, a przynajmniej zdawało się jej, że go więcej kocha. A wreszcie w Borghignano księżniczka się nudziła, a hiszpańskie przysłowie powiada, że kiedy kobieta poziewa, dyabeł włazi jej ustami i prosto do serca dochodzi.

Lalla miała wykwintne i delikatne upodobania, a temperament i nerwy arystokratyczne; dlatego głębokie i wyrafinowane zepsucie margrabiego di Vharé, miało w jej oczach nowy powab, w porównaniu z fortelami demokratycznymi i trywialnymi młodych ludzi — z prowincyi — w Borghignano, które polegały na kolacyjkach z baletnicami i obskurnemi chórzystkami na głośnem upijaniu się prostem winem lub piwem, na powolnem rujnowaniu się w karty przy stolikach restauracyjnych, bez zbytku i rozgłosu dramatycznego, pięknej i głośnej katastrofy.

W Borghignano *la fine fleur* arystokracyi męskiej, przedstawiali dwaj bracia Tangoloni de Lastafarda, którzy mieli wielkie powodzenie i byli wszędzie zapraszani, gdyż ubierali się w Medyolanie, mieli przyjaciół w Medyolanie, bo jechali lub wracali z Medyolanu, co dni parę. Byli zawsze razem, obaj ubierali się jednakowo, tym samym krojem i z materyi tego samego koloru, na sposób angielski i obaj byli bardzo głupi. Jeżeli starszy powiedział jakiś dowcip, młodszy latał po salonach i po łożach powtarzając go. Jeżeli starszy do kogo się umizgał?... młodszy w całem Borghignano, w sekrecie to opowiadał i często — dla honoru rodzinnego — mówił również i o swoich własnych powodzeniach. Tangoloni starszy rozmawiał z prefektem? Wtedy Tangoloni młodszy opowiadał w klubie i w kawiarni: — mój brat, mówiąc z prefektem radził mu... — albo też: — prefekt spotkawszy mojego brata, zwierzył mu się... — i tym podobnie, dalej. Zresztą bracia Lastafarda byli bogaci, z dobrej szlacheckiej rodziny i byli dyktatorami w Borghignano, nie dając wcale żadnej konstytucyi; a każdy nowoprzybyły, który z wahaniem i upragnieniem czekał sposobności wkręcenia się w elegancki miejscowy świat musiał im ulegać, wchodzić w ich ślady i czekać, aż który z braci wziął go pod ramię i powiedział mu „ty“: co gdy raz nastąpiło, a w Borghignano działo się to od rana do wieczora — przechodziło się z plebsu do arystokracyi, od ludzi zwykłych do towarzystwa szlachty.

Inną pierwszorzędną gwiazdą był margrabia di Toscolano, szlachetnego rodu jak Bajard, zrujnowany jak San Quintino; ten miał tylko jedną niepohamowaną namiętność: konie. Namiętność, którą zresztą podzielała cała arystokracya miejscowa w Borghignano, znająca na pamięć życie i rodowody wszystkich szkap miejscowych i okolicznych. Margrabia di Toscolano miał w stajni tylko jednego konia i nazwał go „Adamastor“, chociaż właściwiej byłoby nazwać go „Bartkiem“ lub tym podobnie dla jego powolnych i monotonnych chodów, które czyniły, iż przypominał swoim spokojem i rezygnacyą starego urzędnika z pensyą trzech tysięcy lirów, który pochylony i zmęczony, kroczył z domu do biura.

Toscolano nic innego przez cały dzień nie robił, tylko chodził po stajniach swoich przyjaciół, a czasem z dziedzińca, szedł na górę, aby paniom uszanowanie swe złożyć; ale zawsze miał buty z ostrogami, spodnie irchowe, spicrutę w ręku i przynosił ze sobą zapachy stajenne, które dech zapierały.

Margrabia miał jeszcze jedno przyzwyczajenie, które było powodem mnóstwa bałamuctw: konie, furmanów i panie nazywał tylko chrzestnem imieniem: Adamastor, Dirce, Vandalo, Fanny, Sandro, Cecco, Toni, Hipolita, Jenny, Norina.

Oryginałem był także w swoim rodzaju, Gianni Rebaldi, człowiek około pięćdziesięcioletni, z bujną, jasną czupryną, nieco farbowaną, łgarz głupi i wstrętny plotkarz; upierał się on z całą zapalczywością, mimo pięćdziesiątki, którą dźwigał na barkach, by udawać eleganckiego młodzieniaszka, szukającego żony.

Giani Rebaldi spędził w Bolonii pierwszą i drugą swoją młodość, gdzie stracił całą swą ojcowiznę, aż do ostatniej okruszyny; a teraz w Borghignano, z pomocą pań, na swoją własną korzyść, przywrócił dawny porządek „prawa przytułku“. Uciekał od napaści dłużników, siedząc całemi dniami w tym lub owym salonie, opowiadając o wydarzeniach w Bolonii zaszłych, o festynach w Bolonii, o paniach w Bolonii, i o wszystkiem możliwem w Bolonii, kłócąc się nieraz z braćmi Lastafarda, którzy utrzymywali przeciwnie, że w Medyolanie, tylko w Medyolanie wszystko było najpiękniejsze i najlepsze w świecie.

Obok nich jakiś adwokacik sentymentalny, bez klientów; jakiś marny wicesekretarz od prefektury; jakiś oficerek meloman-amator i na nich kończyła się lista „lwów“ w Borghignano.

Z tego opisu można sobie wyobrazić, jak się Lalla dobrze bawiła! Czuła ulgę i jakby echo eleganckiego życia w Pegli i w Rzymie, poddając się miłostce Vharé'go: a czekając niespokojnie jego przybycia, napisała równocześnie sama do Julii, chociaż Jakóbowi przedstawiła to inaczej, aby zaraz przyjechała do niej do Borghignano. Lalla dobrze rozumiała, że Jakób stanie się w Borghignano o tyle silniejszym, o ile mniej był nim w Rzymie i dlatego żądała powrotu Julii, która każdej chwili mogła być dla niej, w danym razie, gotowym pretekstem, lub też opieką i bezwiednym, a silnym sprzymierzeńcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

te wszystkie obowiązki nasze chcieć streścić w jednej tylko ogólnej zasadzie, to powiedzielibyśmy wtedy można: „żyć nam należy życiem Kościoła“. Z tej jednej zasady wyprowadzić można wszystko to, czego od prawego katolika wymagać należy, a z tej pouczka każdego katechizm. Ale z tej zasady wynikają też obowiązki, o których katechizm, jako przeznaczony dla wszystkich, dla warstw najwyższych, ludzi światłych i nieoświeconych, traktować nie może. Tu więc potrzeba nam wskazówek i pouczenia, które daje nam właśnie X. Arcybiskup. Wśród tych obowiązków, które katechizm nazywa „obroną Kościoła wobec jego wrogów“ — jest przedewszystkiem to powinność nasza, ażebyśmy wobec dzisiejszych zgubnych prądów czasu, narzucających się ogółowi z ogromnie wytrwałą natarczywością i w imię najwznioślejszych haseł ludzkości, mieli odwagę i śmiałość naszych zasad katolickich, ażebyśmy poznali grożące Kościołowi niebezpieczeństwo i umieli, iżby je uchylić. A do tego przedewszystkiem bardzo dokładnie znać musimy naukę Kościoła, ażebyśmy wiedzieli, jakie drogi do światła i prawdy nieskończenie wytknął on ludzkości, i przez dokładnie poznać umiemy udział Kościoła w historyi cywilizacyi, ażebyśmy się przekonali że niesłychanie śmiałym fałszem jest twierdzenie, jakoby Kościół wrogo był usposobiony wobec prawdziwego postępu, iż przeciwnie szedł on zawsze pierwszy na czele pochodu prawdziwej cywilizacyi, pierwsze i najważniejsze, najśmielsze i najprostsze drogi wytykał on postępowi ludzkości.

Bardzo piękny jest ten ustęp orędzia, w którym Dostojny jego Autor mówi o zasługach Kościoła około kultury. Omówiwszy stanowisko Kościoła wobec nauk świeckich we wszystkich czasach, powołuje się x. Arcybiskup na to, że wszak nie kto inny, jak Chrystus rzekł: „Kto nie postępuje, ten się cofa“ wskazuje na to, że jakkolwiek rządy protestanckie i liberalno-radykalne czynią wszystko, ażeby odebrać Kościołowi te, dzisiaj w większej mierze, niż kiedykolwiek, potrzebne środki, któreby pozwoliły mu stać na czele cywilizacyi, to jednak mimo to i w dzisiejszych nawet czasach między najpierwszymi wśród najznakomitszych dla ludzkości liczy Kościół wiernych swoich synów. Przykładem niechaj będzie choćby tylko tak głośne nazwisko Pasteura. Niedawno w liberalno-radykalnej Francyi urządzono wielki plebiscyt, którego zadaniem było odpowiedzieć na pytanie: kogo Francya uważa za największego z ludzi na całym świecie w XIX wieku. Olbrzymią większością głosów za największego uznano Pasteura. A Pasteur, gdy tylko czas mu na to pozwalał, za szczęście sobie to poczytywał, iż dając dobry przykład, chodził za procesyą kościelną ze świecą i różańcem w ręku; umierał zaś z krzyżem przy ustach, tak, iż śmierć jego wzorem być może, jak umierać winien prawy chrześcijanin.

Jak wielkim przytem był i jest udział Kościoła w sztuce; wszak największe dzieła rzeźby, malarstwa, architektury i poezyi przez Kościół i dla Kościoła powstały. Dostojny Autor bardzo słusznie podnosi, iż mówiąc o sztuce i o Kościele, niepodobna nie wskazać na to, że sztuka istotnie katolicka jest żywym arcydziełem sztuki, i to zbiorowem dziełem poezyi, muzyki, malarstwa, rzeźby i architektury, dziełem najbardziej zharmonizowanem, bo początkiem z najwyższej idei sztuki, tj. pragnienia uczczenia przez geniusz ludzi jego i całego uniwersum Stwórcy.

Omawiając współczesne, grożące Kościołowi niebezpieczeństwa, wspomina Arcypasterz o tzw. zreformowanym katolicyzmie, o próbach organizacyi kościołów narodowych i przechodzi do dwóch najważniejszych niebezpieczeństw obecnej chwili to jest do tzw. „wolnej szkoły“ i do ślubów cywilnych. Dostojny autor wykazuje, iż wychowanie, nieoparte na etyce katolickiej, musi być połowicznem i szkodliwem. Wytworzy ono pół-ludzi — pół-zbrodniarzy. Przytem podnosi x. Arcybiskup, że jeżeli dzisiaj podnoszą się przeciwko szkołom naszym uzasadnione nieraz zarzuty i one to powodują, że wielu przyznaje, iż konieczną jest reforma szkoły, to winę tego często ponoszą wychowawcy i nauczyciele. Jeżeli bowiem nauka religii katolickiej nie zawsze w dzisiejszych szkołach jest w stanie w zupełności spełnić tego zadania, którego słusznie od niej wymagamy, to przyczyna tego jest taka, że współczesny duch szkoły i nauczania wogóle wymaga w równie wielkiej mierze nauki poglądowej, jak i nauki teoretycznej. Jeżeli zaś nauka poglądowa etyki i praktyk katolickich nie dotrzymuje czasem w naszych szkołach kroku nauce teoretycznej, to winę tego ponoszą nauczyciele i wychowawcy; oni bowiem jedynie mogą być dla młodzieży przedmiotem nauki poglądowej.

Mówiąc o ślubach cywilnych i o rozwodach, przedewszystkiem prostuje Dostojny Autor to fałszywe uogólnienie, jakoby Kościół, nie dopuszczając rozwodów, tem samem nieszczęśliwych w pożyciu ze sobą ludzi przykuwał do siebie wzajem na zawsze. Przeciwnie, Kościół dopuszcza separacyę, jeżeli są po temu dostateczne powody. Pomiędzy jednak separacyą, a zupełnem zerwaniem zawartego małżeństwa i zyskaniem zupełnej pod tym względem wolności jest jeszcze droga, a nader daleka. Nie ma żadnej rodziny, kto na wole rodziny. — Oto streszczenie całego socyalnego i etycznego znaczenia małżeństwa sakramentalnego w porównaniu ze ślubem cywilnym. Ludzie mający zmysł społeczny dawno też i bez zastrzeżeń uznali wyższość małżeństwa katolickiego nad łatwo rozdzielnym ślubem prawnym. W tym względzie powołuje się x. Arcybiskup na zdanie Amerykanów, którzy ani katolikami nie są, ani posądzeni być nie mogą o brak tendencyi liberalnych, a nawet radykalnych. Jeden z najwybitniejszych socyologów amerykańskich protestant Sheldon tak się wyraził w tej mierze: „Proces, który zwolennicy rozwodów wytaczają Kościołowi katolickiemu, bynajmniej nie jest procesem w imieniu ludzkości. Nie ma on na celu szczęścia całego rodzaju ludzkiego, ale ma charakter sprawy osobistej, jest obroną skłonności do robienia, co się komu podoba. Zwolennikom rozwodów zdaje się, że w swojego smutnego doświadczenia wyrzucili naukę dla dobra całej ludzkości; w rzeczywistości jednak identyfikują oni swoje przemijające pobudki i prywatne interesy z dobrem ogółu. Kto pracuje nad postępem socyalnym i dąży do idealnej teoryi państwa i narodu i ma szczere poczucie zasad moralnych, ten uznać musi konieczność świętości małżeństwa i zasadę, że związek ten nigdy nie może być zanadto mocny“.

Na tem stanowisku swojem nie stoi Sheldon bynajmniej odosobniony. Jednego z nim zdania są najwybitniejsi amerykańscy i wogóle anglo-saxscy prawnicy. Jak przekonanie to przesiąkło głęboko w te, najwyższy zmysł społeczny posiadającą, rasę, świadczą o tem najlepiej słowa prezydenta Roosevelta, wystosowane do Kongresu: „Jeśli w nasze prawodawstwo małżeńskie nie wprowadzimy katolickich ustaw małżeńskich, Ameryka zginie“. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż rozbicie małżeństwa jest zarazem rozbijaniem społeczeństwa; jest wyżej tendencyą barbarzyńską, a nie kulturalną. Argument, iż taka lub owa odosobniona jednostka jest nieszczęśliwą w małżeństwie, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Wszak oprócz tego są w społeczeństwie i tysiące źródeł utrapienia ludzkiego. Dlatego, że temu lub owemu zdaje się, iż jest nieszczęśliwy, to jeszcze motyw zgoła niewystarczający do wprowadzania ustaw, krzywdzących rozumny i zdrowy interes całego społeczeństwa i całej ludzkości. A gdyby ludzie w dobrem małżeństwie kierowali się nie chwilową dorywczą namiętnością, ale rozwagą poważną, toby i liczba tych t. zw. „niedobranych“ małżeństw spadła do znikomego minimum.

Na końcu swego listu wskazuje X. Arcybiskup na to, że niewystarczającem jest wyznawanie zasad takich w teoryi tylko. Trzeba się usilnie starać o stwierdzenie ich w życiu realnem. A do tego drogą jedyną jest czynny udział katolików prawdziwych w życiu politycznem i publicznem wogóle. Bez tego żywe i najwznioślejsze zasady w teoryi wyparte zostaną z życia i ustąpią instynktom brutalnym.

Kongres socyalistyczny.

Stutgart. Na onegdajszem posiedzeniu socyalistycznej konferencyi parlamentarnej, przyszło do ostrego starcia między przewódzcą socyalistów niemieckich Beblem, a francuskim antymilitarystą Herve'm, który, uzasadniając swą rezolucyę przeciw wojsku, zarzucił Beblowi, że on stał się już zupełnie burżujem i że tak, jak każdy burżuj, boi się więzienia.

Na to Bebel zawołał: Pan widocznie nie wiesz o tem, że ja wiele lat spędziłem w więzieniu.

Hervé: Tak, ale teraz boisz się pan więzienia. Niemiecka partya socyalistyczna wogóle stała się partyą burżuazyjną. Bebel, zamiast wołać: „Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się“ — wzywa proletaryuszy wszystkich krajów, aby się mordowali wzajem.

Na to odpowiedział Bebel ostrą mową, w której oświadczył między innemi, że powodzenie odłamu antimilitarnego we Francyi stałoby się klęską całej partyi socyalistycznej.

Stutgart. Międzynarodowy kongres socyalistyczny przekazał komisyi międzyparlamentarnej wniosek angielski o postawienie we wszystkich parlamentach propozycyi co do oznaczenia minimum pracy. Wniosek sekcyi południowo-afrykańskiej i francuskiej w sprawie języka międzynarodowego, odrzucono, jako przedwczesny. Natomiast przyjęto propozycyę austryacką w kwestyi prawa wyborczego kobiet.

Co i o czem piszą.

Pewien bardzo poważny Rusin, jeden z wybitnych — jak zapewnia Redakcya *Dziennika polskiego* — zastanawia się w tem piśmie nad sytuacyą, jaka się w ostatnich czasach wytworzyła wśród Rusinów. Dawniej — powiada on — były tylko dwie partye ruskie: staroruska i młodoruska, które różniły się między sobą jedynie pisownią i pozdrowieniem. Mianowicie starorusini zatrzymali pisownię etymologiczną i pozdrawiali się słowami: *„moje pocztenje“*; zaś młodorusini przyjęli pisownię fonetyczną, a witali się słowami: *„moje poważanje“*. Obecnie zaś nie ma już mowy o partyach, lecz są dwa niejako zupełnie odrębne narody. Jeden, który uważa, że jest tym samym narodem, co Rosyanie, pragnie przyłączenia Rusi galicyjskiej do Rosyi, a tem samem ugruntowania władzy knuta i nahajki moskiewskiej. Narodowcy ukraińscy dążą natomiast do oderwania się od Rosyi i Austryi, i utworzenia samodzielnego państwa ukraińskiego, do którego tronu mają pretensyę niemal wszyscy wybitniejsi politycy z „Narodnego komitetu“, od Romańczuka do Petryckiego, którego już dziś nazywają niektórzy „Mychajłem I“. Radykali chcieliby wolnej, kozackiej Ukrainy z hetmanem „siczowyków“ Trylowskim na czele, a zaś socyaliści radziby koniecznie doczekać się „wolnej Ukrainy bez popa i pana“, które to stany pragnęliby oczywiście sami zastąpić.

Tak więc — pisze ów Rusin w *Dzienniku polskim* — inteligencya ruska jest podzielona na rozmaite obozy polityczne, a każdy taki obóz ma swoich płatnych agitatorów, których zadaniem jest przedewszystkiem zohydzanie Polaków w oczach bezkrytycznych mas ludu ruskiego, następnie zaś zjednywanie sobie tych mas ludowych, oczywiście dla celów czysto osobistych.

To długoletnie bałamucenie ludu ruskiego przez niesumiennych agitatorów różnych partyi, doprowadziło w końcu do tego, że stoimy obecnie przed wielkim znakiem zapytania: czy mianowicie żyjemy w Galicyi z Rosyanami, czy też z Ukraińcami?

Żarcie się partyi ruskich między sobą sprawiło że ten biedny, oszukiwany lud ruski sam nie wie, kto on jest, do której z partyi ma on należeć i kogo słuchać? My zaś obojętnie przypatrujemy się tym orgiom agitacyjnym i również nie wiemy, z kim mówić i traktować, i jeśli tak dalej będzie, to gotowiśmy się doprawdy doczekać wytopienia nas w Sanie, wywieszania na suchych gałęziach wierzb przydrożnych i objęcia rządów wschodniej, a może nawet i całej Galicyi przez „jego królewską mość Mychajła I“, lub też przez „jego hetmańską mość Kiryła Trylowskiego“.

Mojem zdaniem, nam nie wolno pod żadnym warunkiem odgrywać dalej roli obojętnych widzów, lecz zawczasu wziąć się energicznie do pracy rzetelnego, a uczciwego uświadamiania ludu ruskiego.

Mam na myśli, by wejść w bliższe porozumienie z ludźmi poważnie i szczerze myślącymi jednego z obozów ruskich i stworzyć partyę rusko-narodową, któraby wspólnie z nami dążyła do podniesienia dobrobytu wśród ludu. Partya taka niech sobie będzie patryotyczną, lecz hasło ciągłego szczucia na Polaków musiałaby precz rzucić, a zabrać się do roboty realnej, szczerej i uczciwej.

Popieranie prasy ludowej ruskiej, któraby Rusinów zwalczała, a nas wychwalała — uważam za rzecz wprost szkodliwą, tak dla nas, jakoteż i dla naszych braci Rusinów; to bowiem wytwarza nieznośną atmosferę, a zwiększa nienawiść narodowościową, zaognia i tak już do niemożliwych granic napięte stosunki, demoralizuje jednostki, nam zaś przysparza niepotrzebnie wrogów.

Również — wedle mego zdania — wszelkie środki i środeczki tak zwane „połowiczne“ nie prowadzą do celu. Owszem, pismo jakieś być musi, lecz niech to będzie organ czysto ruski i szczerze patryotyczny; niech uczy swoje kochać, ale i nasze szanować, niech uczy lud ruski, niech go podnosi duchowo i ekonomicznie, niech przygotowuje rzesze ludu nie do topienia nas w Sanie, nie do mordów i pożóg — lecz prowadzi do prawdziwej oświaty.

Nie pogardy i nienawiści do Polaków niech uczy takie pismo, lecz prawdy, miłości, równości i braterstwa.

Oto jest nasze zadanie, oto, zdaniem mojem, a sądzę, że i wielu innych — jedyny, chociaż radykalny środek na ukrócenie, a nawet na zniszczenie harców i orgij, wyprawianych przez agitatorów ruskich rozmaitych odcieni. Rana jest duża i coraz bardziej się zaognia. Należy zrobić „cięcie cesarskie“ wcześnie, abyśmy znowu „nie zmądrzeli po szkodzie“.

Mały feljeton.

Nigdy nie można wiedzieć...

I przecież pozostałem w Monte-Carlo; krakowscy moi przyjaciele twierdzą, że mogą się bezemnie obejść, a moje finanse są lepsze, niż kiedykolwiek. Gładkie i jasne, niby polerowana płyta metalowa, rozciąga się u stóp moich morze w czarownym blasku barw tęczowych. Tam dalej pieszczą się ciała spienioną falą, tuż obok mnie kąpie się gromadka młodych, niby z bronzu wykutych ludzi.

Oto jeden z nich zanurzył się i zdobył jakąś muszlę. Przygląda się jej i pokazuje innym. Widoczne zainteresowanie. Ciekawość mnie pociąga, więc podchodzę do znalazcy:

— Pozwoli pan obejrzeć mi tę muszlę — pytam z uprzejmym uśmiechem.

— *O yes sir — an oyster!*

Ach, ostryga! Naturalnie, cóżby innego, tak, jak naturalnem także było, że znalazca jest Anglikiem.

— Zapewne zjesz pan tę ostrygę, sir?

— Może.... a może też jest w niej perła.... Nigdy nie można wiedzieć.

— Co, perła? Żartujesz sir. Mimowolnie wskazałem na moją krawatkę, w której tkwiła złota spinka z perłą, sądzisz sir, że może być w niej taka perła, jak ta, o tu?

Skłonił głowę z uśmiechem, ukazując przytem dwa rzędy wspaniałych zębów:

— Pańska perła, mój panie, jest wielką i piękną—rzekł.—*How much do U ask?*

— To tylko imitacya.

— Wiem o tem, mój panie! Z tem wszystkiem podoba mi się, gdyż ma ładny połysk. Nie chciałbyś mi pan jej sprzedać?

— Ach! żartuje pan, wszakże ona nie kosztuje nawet 10 franków.

— Ofiaruję więc panu 10 franków.

— Jeżeli pan koniecznie chce, i owszem, robisz pan jednak zły interes.

Szybko się ubrał, a niebawem interes był obopólnie załatwiony. Zdawało mi się przez chwilę, że jestem gdzieś na afrykańskiem wybrzeżu i prowadzę zamienny handel z dzikimi.

* * *

W godzinę później byłem już w restauracyi w hotelu de la Paix. Usiadłem przy ustronnym stoliku, z którego miałem widok na całą salę. Przed sobą ujrzałem obróconego tyłem młodego Anglika, który rano odemnie kupił perłę. Widocznie był on tu znany, gdyż usługiwano mu z pośpiechem. Kelner niósł mu właśnie duży półmisek ostryg.

Przypomniałem sobie poranną naszą rozmowę, jego poważną minę, gdy mówił o możności znalezienia perły i roześmiałem się mimowolnie. Zjadłem przyniesionego mi tymczasem pstrąga i czekałem na następne danie, gdy nagle spostrzegłem, jak do stołu mojego przygodnego znajomego zbiega się cała służba restauracyjna. Nie chcę nużyć opowiadaniem, powiem więc krótko, że stał się najcudowniejszy z cudów. W jednej z przyniesionych mu ostryg znalazł mylord perłę.

I co za perłę!

— Ach jakaż piękna i wielka, szeptały damy siedzące bliżej stołu szczęśliwca. W jednej chwili otoczyło go koło ciekawych; widziałem, jak ryży gospodarz biegł szybko ku niemu, widziałem jego przyjaciela, przedzierającego się przez koło otaczających, a wreszcie z ciżby usłyszałem jakiś głos, który wołał:

— Pozwól Pan, niech obejrzę tę perłę, gdyż jestem jubilerem.

Podano mu perłę i nagle zapanowała uroczysta cisza; dopiero po dłuższej chwili zawołał znawca:

— Co najmniej 10.000 franków!

I znowu odezwało się wielkie „ach“ zdumienia i zazdrości, a w chwilę później szczęśliwy mylord wraz z właścicielem hotelu usunęli się do prywatnego mieszkania tego ostatniego. W sali tymczasem zagrzmiało jak w ulu. Wszyscy omawiali szczególniejsze zdarzenie, a w moich uszach ciągle dźwięczały słowa, wypowiedziane rano przez Anglika na widok ostrygi: „Kto wie, może w niej jest perła — nigdy wiedzieć nie można.“

* * *

Tymczasem, jak się później dowiedziałem, rozegrał się w mieszkaniu hotelarza dyalog następujący:

Gospodarz: Wasza lordowska mość wie niewątpliwie, że na podstawie wyraźnego rozstrzygnięcia najwyższego trybunału, perła należy do gospodarza, który sprzedał gościowi ostrygi. I słusznie, sprzedałem panu bowiem ostrygę, a nie perłę.

Lord: Ja zaś utrzymuję, że perła jest moją, bom za nią wraz z ostrygą zapłacił.

Gospodarz: Nie chcę bynajmniej procesu i dlatego proponuję panu układ: Mylord mi odda perłę, a ja dam za nią 3000 franków. Przecież to piękny grosz...

Lord: Ani mowy! Niech pan wytacza proces.

Gospodarz: A więc 3.500! Zgoda!

Lord (po chwilowem wahaniu): Niechże będzie 4.000 franków.

Gospodarz (z westchnieniem): Bierz pan pieniądze (wylicza mu żądaną sumę w biletach bankowych, które lord, nie przeliczając, chowa do kieszeni). Bierz pan i idź do... z Bogiem!

Lord: *Good by.*

* * *

W kwadrans później, kiedy w sali obnoszono właśnie cygara, wszedł szybko na salę szczęśliwy posiadacz perły, widocznie podrażniony i zdawał się wzrokiem szukać owego jubilera, który ocenił perłę na 10.000 franków. Nie było go jednak, gdyż opuścił już przedtem salę. Posłano po miejscowego jubilera, który bez trudu skonstatował, że perła była fałszywą.

A przecież była tak dużą, piękną i miała szczególnie ładny połysk, tak dobrze mi znany.

Zbliżyłem się do gospodarza i spojrzałem na perłę.

Zdębiałem! Była to moja własna, fałszywa perła, którą rano za 10 fr. sprzedałem.

Zapłaciłem i bez wypowiedzenia słowa śpiesznie opuściłem lokal.

Doprawdy... nigdy nie można wiedzieć...

Wypadki w Rosyi.

Petersburg. Przed sądem wojennym rozpoczął się wczoraj proces o udział w spisku na cara przeciw 18 oskarżonym, z czego 7 kobietom. Głównymi oskarżonymi są: dymisyonowany porucznik marynarki Borys Nikitin, syn radzcy kolegialnego Naumow, małomieszczanin Prokopowicz i niejaka Anna Nitkin. Wszyscy prawie oskarżeni są ludźmi w wieku lat 20. Wedle planu spiskowców, car miał być zabity bombą podczas przechadzki w parku w Carskiem Siole. Wykonawcą zamachu został wylosowany Naumow. Proces odbywa się z wykluczeniem jawności.

Warszawa. W niedzielę wieczorem trzej stójkowi szli przez plac Witkowski, wtem podbiegło do nich kilkunastu młodych ludzi, którzy trzymając rewolwery w rękach, zażądali od nich, by oddali im broń. Dwaj stójkowi Borkowski i Żółek polecenia tego nie wykonali. Wtedy rozległo się kilka strzałów i ugodzeni kulami w głowę Borkowski i Żółek padli na miejscu. Trzeci stójkowy bez broni udał się do cyrkułu. Gdy przybyło na miejsce wezwane pogotowie ratunkowe, zastało już stygnące zwłoki. Uczestników zamachu było około 20. Byli to młodzi, przyzwoicie ubrani ludzie, którzy po zabiciu zniknęli bez śladu. Zaalarmowana policya wraz z wojskiem rychło przybyła na plac Witkowski. Rewizye przechodniów i okolicznych domów nie dały żadnego rezultatu.

Warszawa. Potwierdza się wiadomość o napadzie na Towarzystwo kredytowe ziemskie w Radomiu. Ale rozmiary tego napadu są zupełnie inne. Bandyci nie zabrali trzech milionów rubli, ale tylko 1.400. Okazuje się, że woźny Towarzystwa i jeden z dyurnistów byli w porozumieniu z nimi. Aresztowano też ich natychmiast.

Białystok. Pułkownika Schröttera, komendanta wojskowego stacyi kolejowej w Białymstoku, zamordowano tu onegdaj w ten sposób, że kiedy on wsiadł do tramwaju, wskoczyło za nim kilku młodych żydów. Po chwili, pod pretekstem, że jest przeciąg, zamknęli oni okna, a dokonawszy tego, rzucili się na pułkownika i kilku strzałami rewolwerowymi zranili go tak ciężko, że tego samego dnia umarł.

Kowno. Trzej strażnicy ziemscy (spełniający w Rosyi to zadanie, jakie u nas spełniają żandarmi, *Przyp. Red.*) wraz z urjadnikiem krożańskim (znaczy z urzędnikiem policyjnym, rezydującym w Krożach. *Przyp. Red.*) weszli we wsi Klibale, niedaleko Króż, do chaty gospodarza Kasprowicza i zażądali od niego, aby ich poczęstował piwem. Kasprowicz oświadczył, że nie ma piwa, ani pieniędzy na kupienie go. Wtedy strażnicy zaczęli łajać Kasprowicza od ostatnich słów. Kasprowicz z początku nie odpowiadał na impertynencye impertynencyami, ale w końcu, zniecierpliwiony coś ofuknął. Wtedy strażnicy wraz z urjadnikiem rzucili się na niego i poczęli go bić. Na krzyk Kasprowicza nadbiegli inni chłopi, mianowicie: Zborowski, Radowicz, Burga i Gedymin, ale chłopi ci byli bezbronni, podczas gdy strażnicy mieli rewolwery i pałasze. Rezultatem tego jest, że wszyscy ci czterej chłopi są mocno pokaleczeni, a Kasprowicz umierający.

---

6)

Ludwik Dębicki.

Portrety i sylwetki

z dziewiętnastego stulecia.

(Serya II, tom II. Lwów przed czterdziestu laty).

(Ciąg dalszy).

III.

Kazimierz z Sicina hr. Krasicki.

Urodzony na początku naszego stulecia, był najstarszym synem Macieja Krasickiego z Dubiecka. W domu rodzicielskim szła nauka i wielkoświatowy stołeczny polor po księciu biskupie, stryju pana Macieja, jak po nim idzie spuścizną przysłowiowa Krasickich: pamięć i swada poetyczna — stryj zaś Kazimierza, p. Ksawery, dzielny pułkownik z pod wodzy księcia Józefa i Kościuszki, znany nam z opowiadań Wincentego Pola, odświeżył w rodzinie Krasickich rycerskiego ducha i wojskowy animusz.

Znać bratanek podał się po myśli stryja, z którym za młodu wiele obcował i dzielił jego wyprawy na łowy, bo zamiast studyów uniwersyteckich sposobił się pan Kazimierz w akademii inżynierów w Wiedniu do rzemiosła wojskowego. Z akademii wyszedł oficerem i słynął w kraju, w którym młodzież niczem poważnem nie zajmowała się podówczas, jako dziarski towarzysz i na całą prowincyę najdzielniejszy mazurzysta.

W kampanii r. 1831 brał czynny udział i opisał swoje wspomnienia z owego czasu w pięćdziesięcioletnią rocznicę, przeczuwając już bliski koniec.

Ożeniony po powstaniu z Izabellą hrabianką Stadnicką, przeniósł się Kazimierz Krasicki z nad Sanu w Bocheńskie, zamieniwszy z bratem Aleksandrem rodzinne Dubiecko na Jasień pod Brzeskiem.

Pierwszy występ publiczny Kazimierza Krasickiego rozpoczyna się w 10 lat po powstaniu w sejmie stanowym. Prezesem stanów był podówczas teść Krasickiego hr. Jan Kanty Stadnicki. Istniała podówczas sprawa niezmiernie ważna, a trudna do rozwiązania, sprawa uwłaszczenia włościan. Na zachodzie Galicyi mnożyły się oznaki wrzenia wśród ludu, zwiastuny owego rozpasania, jakiem w r. 1846 oznajmił swe niezadowolenie. Wszyscy wiedzieli, że trzeba koniecznie coś zrobić, tylko jak rzecz rozwiązać, o tem były zdania podzielone. Jeszcze był czas zażegnać burzę, należało jednak co rychlej uregulować stosunki poddańcze. Krasicki, jeden z najpoważniej myślących wystąpił w r. 1842 z wnioskami w tej sprawie i poglądy swe wyłuszczył w osobnym memoryale, który p. Dębicki przestudyował i na jego tle tę rzecz tak nam przedstawia:

„Systemu poddańczego nie traktował Krasicki w imię hasła wieku o równości praw człowieka głoszonych przez emigracyę. On, szlachcic i konserwatysta, uznaje w patrymonialnym systemie myśl przewodnią, opieki, pomocy i przodownictwa; dąży on do reformy, ale pragnie jej z uwzględnieniem warunków ekonomicznych stanu oświaty, oraz praw nabytych.

Andrzej Zamoyski w lat dwadzieścia później w Królestwie, pragnął reformy stosunków włościańskich ograniczyć do oczynszowania, twierdząc, że zupełnej darowizny lud nie zrozumie i nie wyjdzie mu ona na pożytek. Krasicki przed sześćdziesięciu laty domaga się dla ludu w Galicyi czego innego; chce zacząć od nadania ziemi, od uwłaszczenia, choć z zachowanym ciężarem robocizny. Żąda on w memoryale, aby grunta włościańskie zamienione zostały na własność osobistą, użytkową włościan; domaga się ksiąg gruntowych, a nawet hipotecznych, aby te grunta mógł kmieć oraz zagrodnik sprzedawać, obciążać, zastawiać, byle tylko nie dzielić. Już wtedy dostrzega niebezpieczeństwo parcelacyi. W nadaniu ziemi upatruje najważniejszą społeczną rękojmię, jaką jest poczucie własności osobistej, a przyszły przewodnik instytucyj kredytowych w zaprowadzeniu hipoteki włościańskiej spodziewa się znaleść skuteczny środek do wykupu od obowiązków robocizny, czyli do dobrowolnych układów o oczynszowanie. Jest on, jak Zamoyski, przeciwnikiem darowizny, i lęka się dla obu stron doraźnego zniesienia stosunku agraryjnego, aby lud, z natury leniwy, a nie mający rozbudzonych potrzeb, nie dość oświecony, nie zmarnował kapitału pracy, aby tego kapitału nie zabrakło w kraju mało zaludnionym do uprawy większych obszarów ziemi.

Miał to być atoli pierwszy krok do zupełnej zmiany stosunków poddańczych. Zgoła, Krasicki chciał prowadzić włościan przez własność do wolności. Stało się odwrotnie, a raczej własność ziemi i wolność roboty udzielona równocześnie wystawiła na wielkie straty i przesilenie dziedziców, a puściła samopas nieprzygotowanych cywilizacyjnie włościan.

W dalszym rozwoju tej zasadniczej myśli doradzał Krasicki, aby dziedzic przeznaczył kapitał na częściową zapomogę dla poddanych, dających gwarancyę w hipotece gruntów. W ten sposób powstałby instytut kredytowy dla włościan, a oszczędności dla służby i nieposiadających własności, którzy w nadziei nabycia ziemi, mogliby tam składać część zasług i zarobku. Byłaby to podstawa do wykupu, a nadto zapewnienie, że włościanie zadłużać się nie będą na lichwę.

Następnie wyłuszczył Krasicki program szkół, a zwłaszcza ochron dla dzieci wiejskich pod nadzorem i kierownictwem duchowieństwa. W jednym ustępie swego memoryału traktującym o potrzebie zdrowej oświaty, która powinna wyprzedzić stanowczą zmianę stosunków, znajduje się uwaga, jakby dziś pisana: „Aby szkoły wiejskie były tak urządzone, iżby dzieci nie nabierały tylko nienawiści do swego stanu, sądząc się usposobionemi do czegoś wyższego, a nie mając dość rozsądku badać siły własne, w różne puszczać się zawody, w których na coraz nowe trafiając przeszkody, szukają przyczyn zwichnięcia swych celów w istniejących stosunkach społeczeństwa, stąd nieukontentowania, urojenia nowych teoryj, sekretne i jawne towarzystwa“.

To pisał Krasicki lat temu sześćdziesiąt z górą. Nie uniknioно tego niebezpieczeństwa, ale dotąd zaniedbano tego, co doradzał, to jest urządzenia ochron dla dzieci wiejskich.

W związku z nadaniem własności gruntów, posiadanych przez włościan, domagał się Krasicki stopniowego uchylenia patrymonialnej władzy. „Który z nas— tak pisał w swym memoryale—nie cierpiał już gorzko, za nieumiejętność, lenistwo, lub też nieuczciwość swego mandataryusza? Jakaż to na nas ciąży odpowiedzialność? Włościanin od dawna przyzwyczajony uiszczać się tylko panu z swoich obowiązków i powinności, zostaje w przekonaniu, że wszelkie istniejące obowiązki są przez pana wymyślone i na tegoż się korzyść obracają. Sądzę, iżby stosowniej było starać się zbyć tego ogromnego ciężaru“...

W programie agrarnym pragnął Krasicki zniesienia dziesięcin dla duchowieństwa *in natura* i zastąpienia ich intratą dla duchownych w gotówce. Znów myśl bardzo praktyczna i głębsza, a która, o ile wiemy, nigdy dotąd nie była poruszoną. Krasicki chciał bowiem, aby stan duchowny najmniej był obarczony zachodami gospodarskimi, a miał wynagrodzenie za swe trudy i nadzieję polepszenia swego bytu bez zmiany miejsc i gorszącego ubiegania się o lepsze parafie. Dlatego projektuje, aby dotacya plebanów podzielona została na klasy i po upływie lat w dowód uznania prac i zasług plebani otrzymywali wyższe płace, pozostając na tem samem miejscu. Sprawa ta, jak wiadomo, zachowała swą żywotność aż po ostatnie czasy.

W konkluzyi memoryału Krasicki podniósł potrzebę Towarzystw rolniczych szkół agronomicznych, technicznych i leśnych“.

Memoryał powyższy, przedłożony Wydziałowi, był pierwszem hasłem reformy, a miał szczegółowość i wykończenie programowe, dał początek do dwukrotnych dyskusyj na sejmie i dwukrotnych adresów w sprawie włościańskiej.

Zdawało się—mówi p. Dębicki—że otwarte zostały szranki, a przynajmniej uchylona zapora do rozbioru najżywotniejszej sprawy społecznej, która już zagrażała zbliżającą się burzą.

Sejm w roku 1845 zebrał się 15 września przy licznym udziale sejmujących, ale już złowrogie towarzyszyły mu wróżby i oznaki, które sprowadziły w wielu okolicach kraju zniszczenie. Ale oprócz żywiołów przyrody — żywioł ludowy okazywał miejscami jakiś niepokój! Członkowie stanów, przybywający z Zachodu, mianowicie Dominik Dąmbski, który następnie padł ofiarą rzezi, opowiadał: „że chłopi naradzają się po karczmach i zastępują drogę przejezdnym po gościńcach, nie mówiąc, czegoby chcieli. Opowiadania te jednak niedość wywarły wrażenia i nie stały się przestrogą“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Lwów 21 sierpnia.

Proces przeciwko studentom ruskim. Z Wiednia donoszą, że proces przeciw studentom ruskim potrwa znacznie krócej niż przypuszczano, a to z tego powodu, że niektórzy z oskarżonych uciekli przed rozprawą, nie podając, gdzie się udają, tak, że sąd nie zna obecnego ich miejsca pobytu. Wobec tego postępowanie przeciw nim zostanie z głównej rozprawy wyłączonem.

Ułaskawienie Orłowskiego. Między ułaskawionymi więźniami przez Cesarza, z powodu rocznicy Jego urodzin, znajduje się także głośny swego czasu dr. Józef Orłowski, adwokat wiedeński i były redaktor *Kuryera polskiego*. Zasądzony on był za oszustwo i oszukańcze długi na cztery lata ciężkiego więzienia przez sąd przysięgłych w Wiedniu. Odsiedział już trzy lata, a czwarty mu podarowano z powodu, że w więzieniu zachowywał się zupełnie poprawnie.

Rozwiązane wiece ruskie. Między innemi, zwołane były w ostatnich czasach wiece ruskie do Hadynkowiec, Podhajczyk i do Czortkowa. Wszystkie trzy zostały przez komisarzy starostwa rozwiązane. W Hadyńkowcach z powodu referatu niejakiego Siczyńskiego „o zmianie reformy wyborczej do Sejmu"; w Podhajczykach za mowę x. Onyszkiewicza, naszpikowaną obelgami na rząd; zaś w Czortkowie z powodu podburzających demonstracyj przeciw moskalofilom i niebezpieczeństwa, że podjudzeni chłopi mogą się rzucić na starorusinów i ich pokaleczyć, a nawet pomordować.

Zdanie o naszej operetce. Jeden z najwyższych naszych dygnitarzy autonomicznych, bawił kilka ostatnich tygodni w Maryenbadzie i teraz właśnie powrócił stamtąd. Jest on wielkim znawcą i wielbicielem teatru, więc też oczywiście i w Maryenbadzie uczęszczał do tamecznego teatru, gdzie jakaś trupa operetkowa wiedeńska dawała przedstawienia. Maryenbad należy do miejsc kąpielowych światowych. Rocznie odwiedza go 40.000 pacyentów, a między nimi tacy, jak dajmy na to król Edward VII, 90 procent zaś z nich są to najtłustsi i najbogatsi ludzie na świecie. Porównywując więc przedstawienie operetki w Maryenbadzie, z przedstawieniami operetki we Lwowie, przychodzi ów dygnitarz do przekonania, iż satysfakcya estetyczna, odnoszona w Maryenbadzie nie ma się do satysfakcyi odnoszonej w naszym teatrze jak 1:100. Tam wszystko jest utrzymane na poziomie płaskim, w tonie grubym, wprost ordynarnym, obliczonym tylko na upodobania ludzi nieinteligentnych. Całą zaletą tamtejszej operetki stanowiło tylko to, że mężczyźni, soliści, mieli głosy, podczas gdy nasi ich nie mają. Ale kiedy taki nasz Lelewicz, nie rozporządzając dobrym głosem, potrafi stworzyć zawsze — jakąkolwiek gra rolę — postać jednolitą, subtelną, pełną finezyi, jeżeli trzeba humorystyczną, w innym razie dystyngowaną, to tamtejsi soliści nie posiadają (prócz głosów) żadnych danych artystycznych, są zawsze trywialni, ordynarni i czy śpiewają rolę kawalera, czy żyda, czy oficera, czy wieśniaka — są zawsze tylko parobkami. Co do artystek zaś, to wszystkie, nawet solistki, są tam tak nieszlachetnie brzydkie, że nie można nawet szkieł przykładać do oczu, aby obserwować ich grę, gdyż popsułu wstręt budzą. O takiej urodzie, jaką posiadają panna Miłowska i panna Schuppówna, o pięknym głosie pierwszej, a dystynkcyi drugiej, ani pojęcia nie mają w operetkowej trupie niemieckiej, grywającej w Maryenbadzie. Tam wszystkie solistki to są wielkie, barczyste i potężne ordynarne artystki, grające grubo, podkreślające wszystkie miejsca dwuznaczne lub trywialne, żeby podziałać na niewybredny gust publiczności niemieckiej. Co się zaś tyczy całości, ensamblu, to przedstawienia naszej operetki są nieporównanie wyższe od owej w Maryenbadzie.

Miłe stosunki. Dzienniki warszawskie opowiadają:

Działo się to w pewnem, wielce popularnem letnisku, w okolicy kolei petersburskiej. W pensyonacie mieszczącym stołowała się młoda panna, nauczycielka, nieco zanadto skłonna do dyskusyi publicznych i wygłaszania w ten sposób swoich przekonań. Byłoby to zresztą zupełnie niewinną wadą, gdyby owa panienka nie poruszała tematów wiary i przekonań religijnych, obrażających uczucia obecnych osób, zwłaszcza zaś gdyby nie wygłaszała wysoce niewłaściwych zdań przy dzieciach.

Pewnego dnia, gdy w zapale krasomówstwa apostołka skrajnych przekonań zmuszała słuchaczów do podzielenia jej zdania o potrzebie usunięcia ze szkół wykładów religii, obecny przy stole ojciec dwojga małców zaprotestował, a poparty przez resztę stołowników, prosił ową panienkę, aby raz zaprzestała już wygłaszania swoich teoryi, których zresztą nikt nie jest ciekawy słuchać. Panienka, obrażona, wstała i odeszła od stołu. Zdawałoby się, że cały epizod powinienby się na tem skończyć, ale znalazło się dwóch dzielnych obrońców, którzy postanowili ukarać niewdzięcznych słuchaczów swojej przyjaciółki.

Panowie ci, z których jeden mianuje się słuchaczem uniwersytetu zagranicznego, a drugi uprawia wiele zajęć i profesyi, przed powziętym zamiarem odwetu, szukali w alkoholu zasobów odwagi i udali się do pensyonatu w porze obiadowej, i oświadczywszy gospodyni, że zawiódł ich w domu obiad i proszą o gościnę. Dodano dwa nakrycia i obaj przybyli zasiedli do wspólnego stołu. Po chwili z ust ich posypał się cały szereg frazesów, z góry ułożonych, a skierowanych do wywołania dyskusyi o przekonaniach religijnych.

Obecni zdumieli się, nie przypuszczał jednak nikt, do czego to zmierza i gdy jeden z mężczyzn, obecnych przy stole, zaprotestował przeciw wszelkiego rodzaju bluźnierstwom, w mgnieniu oka obaj przybyli wskoczyli na stół i porywając krzesła, zaczęli pogrom obecnych i pensyonatu. Za chwilę jedna z pań uderzona, padła na podłogę; jeden ze starszych mężczyzn, chory na serce, dostał ciężkiego ataku; ten zaś który zaoponował przeciw niesłychanie bezczelnej napaści, musiał uciekać, broniąc się przed ciosami, zadawanymi krzesłem. Sala stołowa przedstawiała obraz zupełnego spustoszenia, sprawcy zaś pogromu wyszli z tryumfem z pensyonatu.

Epilogiem sprawy było wyprowadzenie się z pensyonatu gości, którzy uczuli się obrażonymi, że gospodyni nie osłoniła ich przed napaścią. Poszkodowana gospodyni miała zamiar wystąpienia z akcyą sądową przeciw obu awanturników, którzy w tak ohydny sposób ją pokrzywdzili. Niestety, terror, rozwinięty przez owych awanturników i ich sprzymierzeńców, zmusił ją do zaniechania tego zamiaru.

Rozszerzenie Krakowa. Komisya Rady miejskiej dla rozszerzenia Krakowa wydała drukiem rezultat swoich prac, zawierający projekty umów z sąsiedniemi gminami i wnioski komisyi co do zmiany statutu miejskiego. Z broszury tej dowiadujemy się co następuje:

Obecnie Kraków, nie licząc niezabudowanych błoń miejskich o rozmiarze 1·11 klm. □, rozciąga się na przestrzeni 5.77 klm. □, a liczył w r. 1906 okrągło 100.000 mieszkańców. Na 1 klm. □ miejskiego terytoryum wypada więc w Krakowie przeszło 17.000 mieszkańców czyli najwięcej ze wszystkich wielkich miast Austryi — Kraków bowiem w istocie wśród miast tych posiada najmniejsze terytoryum i najgęstsze zaludnienie. Dla porównania wystarcza nadmienić, że w Wiedniu obecnie, po przyłączeniu Floridsdorfu etc., przypada na 1 klm. □ 7.226 mieszkańców, w Berlinie 2.500, a we Lwowie przy obszarze miejskim 32 klm. □ 4.996 mieszkańców.

Spis ludności z roku 1900 w gminach sąsiednich stwierdził nieporównanie żywszy ich rozwój aniżeli Krakowa.

Cyfry dochodów z akcyzy zmniejszają się stale, co dowodzi zmniejszania się konsumcyi w mieście. Fabryki większe przeniosły się z Krakowa do Grzegórzek.

Komisya wnosi przyłączenie następujących gmin i obszarów dworskich do Krakowa: w pow. krakowskim gminy: Półwsie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Czarna Wieś z Kawiorami, Nowa Wieś Narodowa, Łobzów, Krowodrza, część gminy Prądnik Biały, położona po prawym brzegu potoku Sudoł, na której leży krakowski zakład kontumacyjny, część gminy Prądnik Czerwony, leżącą po prawym brzegu rzeki Białuchy, a z przysiółka tejże gminy Olsza część aż po wał fortyfikacyjny; dalej całe gminy: Grzegórzki-Piaski i Dąbie z Beszczem i Głębinowem; obszary dworskie: Półwsie Zwierzynieckie i Zwierzyniec; w powiecie podgórskim: gminy: Ludwinów, Zakrzówek z Kapelanką i Dębniki; obszary dworskie: Ludwinów, Zakrzówek, Kapelanka, Dębniki.

Nadto przyłączenie do miasta Krakowa: miasta Podgórza i gminy Płaszów wraz z obszarem dworskim Płaszów, oraz części obszaru dworskiego Olsza aż po rzekę Białuchę — wreszcie obszaru dworskiego Łobzów.

Kraków po przyłączeniu tem posiadać będzie powierzchni miejskiej 34.54 klm. □, domów około 5.000, a ludności okrągło 145.000.

Staraniem komitetu kolonii tuchlańskiej odbędzie się w niedzielę dnia 25 b. m. msza św. w Tuchli z okazyi uroczystego obchodu 9-tej rocznicy założenia kolonii wakacyjnej w Tuchli. Wyjazd ze Lwowa pociągiem osobowym w niedzielę 25 b. m. o godzinie 7·30 rano. Bilety powrotne II i III klasy z trzydniową ważnością i 50% zniżeniem, są do nabycia na dworcu w kasach osobowych.

Ilu nas jest w Prusach? W ostatnim roczniku wydawnictwa *Statistisches Jahrbuch für den preussischen Staat*, opublikowanym staraniem urzędu statystycznego pruskiego, znajdujemy dane statystyczne ze spisu ludności, dokonanego w grudniu r. 1905 w państwie Pruskiem. Według spisu tego, stan ludności polskiej w państwie pruskiem wynosił w grudniu 1905 r. 3,646.446. Liczba ta jednak jest bezwątpienia niższą od rzeczywistej. Wielu Polaków lękliwych, od rządu zależnych, podało się, jeżeli nie za Niemców, to przynajmniej za „dwujęzycznych". Za dowód tego posłużyć może fakt, że „dwujęzyczni" figurują wyłącznie w dzielnicach polskich, lub w tych obwodach, gdzie przebywają w większej liczbie wychodźcy polscy.

Liczba „dwujęzycznych" wynosi w całem państwie pruskiem 155.963, gdy tymczasem w Poznańskiem 177 tysięcy osób oświadczyło, że ich językiem ojczystym jest jednocześnie język polski i niemiecki.

W r. 1900 liczba Polaków w państwie pruskiem wynosiła 3,394.000 głów, w r. 1890 zaś 2,978.000.

W dziesięcioleciu przeto od r. 1890—1900 przybyło nas w Prusach 416.000, czyli 14%, zaś w pięcioleciu od r. 1900 do 1905 przybyło przeszło 321,000, czyli $9^1/_2$%.

Przyrost ludności polskiej w Prusach wogóle jest większy od przyrostu ludności niemieckiej. W r. 1900 Polacy stanowili 9·59% ludności państwa pruskiego, w r. zaś 1905 — 9·78%. Przyrost ten zawdzięczamy w pierwszej linii większej sile rozrodczej żywiołu polskiego. Przewyżka urodzeń nad zgonami wynosi w całych Prusach 7·6%; w obwodzie poznańskim — 9·78%; w bydgoskim — 10·13%, w gdańskim—8·58%, w kwidzyńskim — 9·45%, w olsztyńskim — 7·89% i w opolskim — 9·83%. Ta siła rozrodcza nietylko pokrywa szczerby, jakie co rok w żywiole polskim czyni germanizacya, ale nawet powiększa stopniowo procent ludności polskiej wobec Niemców.

Niezwykłe przesadzenie drzewa. Jednem z najwspanialszych drzew Europy południowej i środkowej jest cis (*taxus*), który jednak z przyczyn dotychczas niezbadanych staje się w Europie coraz rzadszym, tak, iż prawie napewno można powiedzieć, że wkrótce wyginie zupełnie. Dlatego ludzie dbali o piękności przyrody, jak i o pożytki, które ma się jej do zawdzięczenia, ratują co mogą z flory wspaniałej ubiegłych tysiąców lat. W ogrodzie botanicznym fundacyi Senkenbergowskiej we Frankfurcie nad Menem, znajduje się wspaniały cis, mający około 20 metrów wysokości, a liczący w przybliżeniu, bo dokładnie tego oznaczyć nie można od 300 do 700 lat życia. Ponieważ ten ogród nabyło miasto od fundacyi i zamierza użyć go na inne cele, postanowiono drzewo tak wspaniałe, już z samego pietyzmu dla Senkenberga, uratować i przesadzić do nowego ogrodu botanicznego, odległego o dwa kilometry. Przygotowania do tego rozpoczęto już przed trzema laty w ten sposób, iż w porze sposobnej przycinano drobne korzenie systematycznie, a obecnie wydobyto całe drzewo z gruntu, wraz z bryłą ziemi, mającą 4 metry długości, tyleż szerokości, a 1.80 metra grubości. Ponieważ ta masa ziemi wraz z drzewem tak wielkiem, waży 900 centnarów, czyli 45.000 kilogramów, przeto oczywiście nie można jej było wsadzić na wóz, bo naprzód pytanie, czyby się znalazły konie i osie, mogące znieść tak wielki ciężar, a następnie niema wątpliwości, że takiego ciężaru, który przekracza nawet ciśnienie, dozwolone dla kół lokomotywy, — nie zniosłyby ani bruk uliczny ani znajdujące się pod nim rury wodociągowe i gazowe, tudzież kanały. Dlatego wpakowano wydobyte z ziemi drzewo najsamprzód w ogromną skrzynię, którą postanowiono toczyć zapomocą przyprzągniętych do niej dwóch lokomotyw, służących do ugniatania żwiru na ulicach, na osobno przyrządzonych walcach, zrobionych z pewnego gatunku bardzo twardego drzewa amerykańskiego. Żeby zaś ciśnienie tak wielkiego ciężaru rozdzielić ile możności na jaknajwiększą powierzchnię ulic i placów, przez które miało się odbywać przewiezienie, kładziono na nie kolejno po kilka warstw grubych desek, po których toczyły się te walce drewniane, na których spoczywała opisana skrzynia z drzewem. Oczywiście, że co odbyto kilka metrów drogi, zdejmowano deski z przestrzeni już przejechanej i kładziono je na przestrzeń, po której dopiero miał się transport odbywać. Rozumie się samo przez się, iż taki przewóz jest bardzo powolny, tembardziej, iż trzeba się rachować z krzywiznami ulic i szynami kolei miejskich. Jest jednak nadzieja, że za 4 tygodnie uda się przebyć dwa kilometry i zasadzić drzewo na nowem miejscu. Koszt tej roboty obliczono na 20 tysięcy marek, czyli prawie 24.000 kor., za co jednak będzie zadowolenie, iż się uratowało cenne i rzadkie drzewo i uczciło pamięć założyciela fundacyi.

Ilu jest żydów na świecie? Wydany świeżo w Medyolanie *Lunario israelitico* (kalendarz żydowski) odpowiada na to pytanie tak: W Rosyi 3,800.000, w Królestwie Polskiem 1,300.000, w Austryi (głównie w Galicyi) 1,200.000, w Węgrzech 850.000, w Niemczech 590.000, w Turcyi 280.000, w Rumunii 270.000, w Anglii 235.000, w Hollandyi 103.000, we Francyi 80.000, we Włoszech 52.000, w Belgii 12.000 etc. Razem w całej Europie około 9 milionów. W Ameryce półtora miliona, w Afryce około 350 tysięcy, w Azyi tylko 100 tysięcy, a w Australii zaledwie 50.000. Razem na całej kuli ziemskiej około 11 milionów. Przed dwudziestu laty liczono tylko 7 milionów.

Temperatura dnia 19 sierpnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +16, we Lwowie +15, w Tarnopolu +15, w Czerniowcach +15, w Wiedniu +14, w Salcburgu +16, w Gracu +14, w Pradze +19, w Tryeście +20, w Abbazyi +18, w Raguzie +22, w Budapeszcie +16, w Berlinie +18, w Hamburgu +16, w Monachium +18, w Zurychu +17, w Genewie +17, w Lugano +17, w Anglii +14, w Paryżu +16, w Biarritz +21, w Nizzy +22, w północnych Włoszech +19, we Florencyi +19, w Rzymie +20, w Neapolu +21, w Palermo +21, w Madrycie +22, w Sztokholmie +13, w Petersburgu +13, w Wilnie +12 w Warszawie +15, w Moskwie +16, w Kijowie +15, w Odessie +21, w Serajewie +12, w Belgradzie +15, w Bukareszcie +21, w Sofii +14, w Konstantynopolu +23, w Atenach +20 (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. W Sanoku, Antoni Kwiatkowski, profesor tamtejszego gimnazyum.

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 10 R. w poł. + 11 R. Bar. 766. Idzie w górę. Deszcz.

Z filozoficznego słownika.

Adam — pierwszy z tych niepełnoletnich, którzy twierdzą: „Kobieta mnie uwiodła!..."

Małżeństwo — pralnia chemiczna do odświeżania zużytych mężczyzn.

Miłość — rzecz niezmienna, w której się zmienia tylko objekt.

Miłość wolna — najmilsza forma wolności.

Poligamia — szczerość Muzułmanina.

Słabość — imię jej: kobieta; wcielenie jej: mężczyzna.

Przeszłość (męża) — ciemna część sceny z zapadającemi się kulisami.

W restauracyi.

— Czy u was zupełnie się nie soli?

— Czemu nie — zobaczy pan jak przyniosę rachunek.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś: „Wesoła wdówka" z panią Schupp; w roli Kamila wystąpi p. Laymann.—We czwartek „Wesoła wojna", operetka Straussa.—W piątek „Słodka dziewczyna," operetka H. Reinhardta. W sobotę „Wesoła wdówka" z panią Miłowską.—W niedzielę „Wesoła wdówka" z panią Schupp. — W poniedziałek „Boccacio," operetka w 3 aktach Souppeego. We wtorek „Wesoła wdówka" z panią Miłowską. We środę „Lalka," operetka Ludwika Audrana z panią Miłowską.—We czwartek „Wesoła wdówka" z panią Schupp. — W piątek „Orfeusz w piekle," opera komiczna Offenbacha. — W sobotę „Wesoła wdówka" z panią Miłowską. — W niedzielę „Wesoła wdówka" z panią Schupp.—W nauce „Książątko," opera komiczna w 3 aktach Lecoque'a.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie. We czwartek „Książę Niezłomny" Calderona; w piątek „Kordyan" Słowackiego; w sobotę „Wesele" Wyspiańskiego; w niedzielę „Urzędowa żona" H. Savage'a; w poniedziałek „Wyzwolenie" Wyspiańskiego; we wtorek „Rosmersholm" Ibsena; we środę „Rewizor z Petersburga" Gogola; we czwartek „Rycerze północy" Ibsena; w piątek „Warszawianka" Wyspiańskiego i „Konfederaci Barscy" Mickiewicza. w sobotę „Piastowie," dramat w 4 aktach wierszem Jadwigi Marcinowskiej (nowość).

Colosseum Hermanów od 16 do 31 sierpnia. *3 złote Bacchantki*, żywe statue w bronzie. — *Trupa Bleckwenn*, najznakomitsi cykliści świata.— *Royal Brewster*, ansambl kanadyjski. — *Flirt na próbę*, komedya. — *Vitograph* i 10 nowości. — W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godzinie 4-tej i 8-mej.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 19 sierpnia.

(Z). Znaczne uspokojenie na giełdach wywołała wiadomość, że niemiecki bank w Berlinie wystosował do swoich klientów cyrkularz, w którym ostrzega ich, ażeby nie dali się zastraszyć obecnym nadzwyczaj niskim kursem papierów i nie sprzedawali swych walorów, gdyż to powiększyłoby tylko ogólne zamięszanie. Zdaniem zarządu banku niemieckiego, obecny spadek kursów nie ma racyonalnego uzasadnienia i w niedługim już czasie musi na targu pieniężnym nastać pewne uspokojenie.

Na giełdzie berlińskiej wywarł ten cyrkularz banku niemieckiego nadzwyczaj korzystne wrażenie. Zwrot, jaki zaszedł w Berlinie oddziałał pośrednio i na stosunki tutejszego targu, gdzie także nastało pewne ożywienie w obrotach giełdowych, a kursa bodaj cokolwiek podniosły się. Szkodliwie oddziaływa tylko niepewność, czy bank angielski podwyższy w tym tygodniu swą stopę procentową.

Tylko na targu rent i innych walorów lokacyjnych stosunki jakoś nie poprawiają się. Najlepsze papiery tej kategoryi nie mogą utrzymać się nawet przy kursie 95·— Renta wspólna spadła na 94·90, czteroprocentowa węgierska na 90·80, a $3^1/_2$ procentowe inwestycyjne na 79.

Na targach zbożowych obniżyła się cena pszenicy o 15 halerzy, a zniżkowa tendencya zaczyna brać górę. Sfery handlowe bowiem kombinują, że wobec stosunkowo dobrych żniw w Austryi, jeżeli zajdzie konieczność sprowadzania zagranicznej pszenicy, to będzie to miało miejsce chyba dopiero przy samym końcu kampanii, za jakich dziewięć lub dziesięć miesięcy.

§ **Sprawozdanie tygodniowe** Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie od 12 do 17 sierpnia 1907 r. Pszenica od 10 K. 65 h. do 10 K. 85 h., żyto od 9 K 50 h. do 9 K. 75 h., jęczmień browarny 7.70—7.90, owies 9.50 — 10.—. Kukurudza od 6 K. 50 hal. do 7 koron. Groch do gotowania 9.50—10.—, bobik 6·50—6.75, Koniczyna czerwona od 55 K. do 60 K. Koniczyna biała od 42 K. do 50 K. Rzepak zimowy od 16.00—16.35. Chmiel 85.00—90.—. Nafta zwykła 14.00—15.00, salonowa 16.00—18.00. — Spirytus 10.000 literpercent gotowy, kontyngentowany 54·25 do 54.60. Spirytus nadkontyngent. (ekskontyng.) 34.25—34.60.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Paryż. Z wiadomości, jakie nadchodzą z Tangeru okazuje się, że sułtan marokkański jest w nadzwyczaj trudnem położeniu. Jeżeli bowiem nie ogłosi wojny świętej przeciw Giaurom, to brat jego, Mulej Hachia obwoła się sułtanem i pociągnie za sobą tłumy sfanatyzowanych Marokkańczyków; jeżeli zaś ogłosi wojnę świętą, to narazi się na zemstę mocarstw europejskich.

Francuskie poselstwo w Tangerze otrzymało od sułtana pismo z wyrazami ubolewania z powodu masakry w Casa Blanca. Sułtan przytem wyraża nadzieję, że mimo to przyjaźń jego z Francyą nic nie ucierpi. Francuski konsul w Fezie obawia się wybuchu fanatyzmu wśród ludności tamtejszej i naznaczył wyjazd kolonii francuskiej na dziś. Francuska misya wojskowa Fezu nie opuści.

(Depesze popołudniowe).

Petersburg. Na ławie oskarżonych zasiadają: dymisyonowany lejtnant Nikitienko, Naumow, Purkin, Marya Prokofjewa, Anna Pigit, Wszyscy ci oskarżeni znajdują się w wieku od 22 do 27 lat. Akt oskarżenia zarzuca im wstąpienie do bojowej organizacyi centralnego komitetu stronnictwa socyalistów rewolucyjnych w celu spisku na życie cara, pozbawienia cara władzy monarszej, obalenia istniejącego w Rosyi porządku państwowego, zarzuca im dalej posiadanie składu broni i pocisków wybuchowych.

„Po urządzeniu mieszkania konspiracyjnego—mówi akt oskarżenia—skierowali oni działalność pozostałych obwinionych ku dokonaniu królobójstwa i pozbawienia życia W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza, a w tym celu namówili innych do targnięcia się na życie monarchy zapomocą sztyletu i bomby. Otrzymawszy od Naumowa zgodę na spełnienie królobójstwa, spiskowcy dali mu pieniędzy na naukę śpiewu, aby mógł być przyjęty do nadwornej kapeli. Spiskowcy zdobyli plany parku pawłowskiego, miejsca zwykłych przechadzek cara, plany pałacu carskosielskiego z wskazaniem wewnętrznych przejść, w którym pod gabinet cara zamierzali rzucić bomby". Zamachu nie zdołali uskutecznić, ponieważ uwięziono ich w kwietniu.

Oskarżeni są dalej szlachta: Kołesowskij, adwokat przysięgły Feodozjew, Zofia Feodozjewowa, adwokat przysięgły Tarasow, Olga Tarasowowa, Antonina Emme, Wiera Predkowowa, mieszczanka Biberhałowa, honorowy obywatel Bułganowskij. Ci są w wieku 19—32 lat, oskarżeni o to, że pomagali spiskowcom, oddali im swe mieszkania do dyspozycyi, dostarczyli wiadomości o wewnętrznych stosunkach w pałacu cesarskim i miejscach zwykłych przechadzek cara, o czasie przejazdu w. ks. Mikołaja. Dalej oskarżeni są szlachta: wychowawca liceum aleksandrowskiego Emme, adwokat przysięgły Cziabrow, Zawadzki, obywatel honorowy Brusow, w wieku od 28—30 lat, oskarżeni o to, iż nie należąc do stowarzyszenia, lecz wiedząc o jego istnieniu w celu niesienia pomocy oddali spiskowcom swe mieszkania. Śledztwo co do dwóch oskarżonych, którzy zbiegli, odroczono do czasu ich aresztowania. Feodozjewa broni b. poseł do Dumy Makłakow.

Petersburg. Wczorajsza rozprawa w procesie o zamach na cara, w. księcia Mikołajewicza i prezydenta ministrów Stołypina, trwała do godziny 10 wieczór. Odczytanie aktu oskarżenia trwało okrągło godzinę.

Paryż. Generał Droude telegrafował wczoraj z żądaniem nowych wojsk.

Z Casa Blanca nadeszła wiadomość, że wielu hiszpańskich oficerów porzuciło swą dotychczasową bezczynność i stawiło się do dyspozycyi generała Droude.

Anglia, Francya, Niemcy i Hiszpania upoważniły swoich konsulów w Fezie, aby na wypadek niebezpieczeństwa wyjechali wraz z członkami odnośnych kolonii.

Tanger. Sułtan wezwał konsulów i wszystkich innych Europejczyków w Fezie, aby opuścili miasto, ponieważ obawiać się należy rozruchów. Dwóch szeryfów ma towarzyszyć Europejczykom aż do wybrzeży.

Mulej Hasyd na czele 6.000 wojska z artyleryą maszeruje do Casa Blanca. Zdaje się, że przygotowuje się nowy atak. Prócz tego zbliżać się ma także oddział wojska marokkańskiego z Rabat.

Paryż. Cztery najważniejsze szczepy na południu Marokka, które ogłosiły Muleja Hasyda sułtanem, czynią przygotowania do marszu do Casa Blanca. Kilka dzienników paryskich domaga się koniecznie wysłania nowych wojsk do Marokka. Od wczoraj odbywają się nieustannie drobne potyczki w okolicy Casa Blanca.

Londyn. Izba lordów uchwaliła ustawę, zezwalającą na małżeństwo z siostrą zmarłej żony.

Madryt. Nadeszła wiadomość o ponownym ataku Marokkańczyków na Casa Blanca w dniu wczorajszym.

Provincetown (w stanie Massachusetts). W wygłoszonej tu wczoraj mowie powiedział prezydent Rossevelt między innemi: Coraz bardziej przejawia się w Stanach Zjednoczonych wola, ażeby nikt nie gromadził wielkich majątków za pomocą osobnych przywilejów albo nielegalnych czynów. Mówca jest za narodową ustawą korporacyjną dla stowarzyszeń, które interesowane są w handlu między poszczególnemi państwami. W ruchu kolejowym zaznaczyć należy znaczne postępy. Rząd musi jednakże dozorować w taki sam sposób towarzystwa kolejowe jak banki narodowe. Zdaniem prezydenta Roosevelta przyjdzie w końcu do tego, że rząd będzie musiał wydać ustawy, pozwalające na pewne kombinacye i związki, jednakże prowadzone z zupełną jawnością za zezwoleniem rządu i parlamentu. Dążeniem rządu jest znalezienie jakiegoś skutecznego środka, ażeby ukarać kierowników trustów.

Omawiając następnie sytuacyę na targu finansowym, powiedział Roosevelt, że być może, iż postanowienie rządu ukarania bogatych złoczyńców jest z tem w dalekim związku. Byłoby jednak daremne, gdyby od rządu chciano domagać się, ażeby bogatych albo biednych zbrodniarzy nie ścigał.

Przyjechali dnia 21 sierpnia. S. Tauszyński z Bakowiec. B. Zatorski z Niwistki. Z. Younga z Lipowiec. Prof. Kieroński z Buczacza. F. Sławiński ze Zbaraża. S. Żuk Skarszewski z Żukowa. J. Obst z Doliny. M. Neugebauer z Cieszyna. F. Lunga z Gajów. K. Chorbkowski i dr. B. Skibniewski z Rosyi. P. Komarnicki z Borysławia. K. Łukasiewicz z Buczacza. J. Plesuar z Krakowa.

Przyjechali dnia 21 sierpnia. K. Höfner, R. Klein, O. Scheur, F. Köpich i M. Erdstein z Wiednia. H. Mosler z Wełdzirza. E. Moll z Solinger. A. Lewando z Rosyi. J. Jasiński i E. Rotterowa z Sanoka. A. Frisch z Trembowli. S. Bokiewicz z Kossowa. J. Zlamal z Leopoldsdorfu. M. Perzowski z Wilna. K. Ludwik z Mchu. H. Góralski z Bełza.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30, Wiedeń 21 sierpnia.

Marki 117.42, renta majowa 95 05, węgierska renta koronowa 90·80, akcye: austr. zakł. kredyt. 626 50, węg. zakł. kred. 726 50, anglobanku 296 50 unionbanku 530·00, bankvereinu 525·25, länderbanku 415.00, kolei państw. 638 00, lombardy 150.50, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 406 00, alpiny 581·00, Rima Muranyi 523·50. prag. T. żel. 0000, losy tureckie 180 00 ruble 253 75. Usposobienie: słabsze.

Budapeszt 21 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na październik 11·41—11·42, na kwiecień 11·69—11·70; żyto na październik 9·37—9·38; owies na październik 8·10—8·11; kukurudza na sierpień 0·00—0·00, na wrzesień 0.00—0.00, na maj 1908 6·70—6·71. Rzepak na sierpień 17·90—18·00. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: mierna. Usposobienie: utrzymane. Pogoda: zmienna.

5% renta rosyjska 1906 r. 81.90.

Lwów 21 sierpnia. (Z izby handlowej)

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 557 — do 563 — Banku hipotecznego po 400 kor. 568 00 do 576 00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103·—110.—

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 110 50 do 111 20 4 i pół proc. los. w 50 lat 99 00 do 99 70, 4 proc. los. w 60 lat 94·90. do 95 60. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99 30 do 100 00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 95 00 do 95 70.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97 00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i poł latach 97 00 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 95 00 do 95·70

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 96 80—97·50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101 00 do 101·70. Kom. Banku kraj. $4^1/_2$% (3-ej emisyi) 99 50 do 100 20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 92 30 do 93·00. Pożyczki kraj. z r 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 94.70—95.40. miasta Lwowa 4 proc. 93.00 do 93 70, 4% bez podatku (konwers.) 95 00 95.70,

Monety. Dukat cesarski 11 28 do 11·41. Napoleondor 19 06 do 19·26. 100 ruble rosyjskie papierowe 252 40 do 254 40 100 marek niemieckich 117 40 do 117 30

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5 40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*
Z Kołomyi: 10 05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.23. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełza: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7 00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6 35, 11.08, **2.32**, 7.24*, 11 35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: **11.30***.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6 30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30. 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 3·25, 5·20 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10 05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·25 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9 25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10 10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł) 2·28, 3 45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12 41 popołudniu; i (od 1 6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9 05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8 35 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9 15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

28

JERZY OHNET.

Między sztuką a bogactwem.

(Ciąg dalszy).

— Przypuszczasz choćby na chwilę, że przedstawienie mogłoby się nie udać? — zapytała młoda kobieta wyniośle.

— Odpowiem ci na to po skończonym wieczorze. Z publicznością paryską nigdy nie można być pewnym niczego.

— Rozdaliśmy przecież dosyć miejsc życzliwym przyjaciołom; z wyjątkiem reprezentantów prasy, cała niemal sala zajęta przez naszych znajomych.

— A cóż za rękojmię stanowią życzliwi przyjaciele? Ich poruszyć najtrudniej. Sądzisz, że te strojne damy po lożach będą przyklaskiwały? Powstrzyma je obawa konwenansów światowych, a jeśli to uczynią, oklaskiwać będą miejsca najsłabsze.

— Poczytujesz ludzi naszego świata za tak ograniczonych?

— Nie rozumieją największej muzyki i podejrzywam nawet, że jej nie lubią, tylko nie mają odwagi przyznać się do tego.

W tej chwili dano sygnał, skłaniający widzów do zajęcia miejsca.

— Jakże się okropnie boję! — mówiła pani Brandon głosem drżącym do Derstala — nie byłabym przypuszczała, że doznam tak silnego wzruszenia. A ten biedny Henryk, gdzie on się podziewa?

— Jest na scenie wśród artystów, niby generał na czele wojska...

— Idź do niego, Oliwierze, uspokój go trochę.

— Jeśli to paniom ma zrobić przyjemność — odparł Derstal z nagłą decyzyą.

Wyszedł z loży i po chwili znalazł się za kulisami. W półcieniu, panującym na scenie, dojrzał jednego ze śpiewaków, przebranego za Indyanina, poruszającego głową, przystrojoną piórami i golemi rękoma, zdobnemi w bransolety; rozmawiał z młodym człowiekiem w czarnem ubraniu. Jednocześnie przybiegł Fromageot, czerwony jak burak.

— Cóż u dyabła — zżymał się — czy panna Vermeil skończy wreszcie toaletę? Ma mieć tylko tunikę na sobie, a będzie utrzymywała, że strój zabrał jej tyle czasu.

Ujrzawszy Derstala, wydał okrzyk radości.

— Ah! ty tutaj, kochany mistrzu! — zawołał. — Co za szczęśliwa wróżba! Obecność twoja zapowiada niechybne powodzenie.

Młody człowiek w czarnem ubraniu zbliżył się; Derstal poznał w nim Bouchot'a, jednego z kolegów konserwatoryum, który, lubo podobnie jak on, otrzymał nagrodę Rzymu, zmuszony był poprzestać na skromnej posadzie dyrektora chórów w teatrze Lirycznym. Derstal powitał go przyjaźnie.

— Jak się masz, mój stary Bouchot? Masz teraz tutaj zajęcie?

— Tak jest; przybywam z Lille, gdzie dyrygowałem orkiestrą. Tobie powinszować wypada; idziesz naprzód krokiem olbrzyma. Nie wszystkim równie się powodzi...

— Ty posiadasz talent prawdziwy, Bouchot; co ci w karyerze staje na przeszkodzie? Może nie dosyć pracujesz?

— Ah! kochany przyjacielu, napisałem utworów cały kufer, ale gdzież wystąpić z tą muzyką? Wiesz, że jakkolwiek powodzenie nie jest niemożliwem, skoro ty dopiąłeś celu, w każdym razie bardzo trudne do osiągnięcia... Przytem na wyczekiwanie lepszej doli brak czasu... Mam żonę, dzieci, drobiazg mój jeść potrzebuje.

— Ożeniłeś się?

— Tak jest; poślubiłem nagrodzoną złotym medalem za śpiew w konserwatoryum pannę Amelię Durocher... występowała w teatrze w Lugdunie... Pamiętasz Amelię Durocher?

— Pamiętam; ładna, obdarzona pięknym głosem.

— Ładną jest jeszcze, ale głos straciła; dlatego to zostałem dyrektorem chórów w Teatrze lirycznym, zamiast pisać, jak inni, partytury oper.

— Czy ci mogę być w czem pomocny?... Przyjdź do mnie; pogadamy.

— Dziękuję; poczciwy zawsze z ciebie chłopak... Słyszałem, żeś i ty się ożenił, że zrobiłeś świetną partyę... Młodzik, którego sztukę grają dzisiaj, jest pono twoim szwagrem... Szczęśliwe dla niego zrządzenie losu.

Po tych słowach Bouchot śmiać się zaczął, mrugał znacząco oczyma. Derstal nie zdążył odpowiedzieć, gdy Fromageot przyprowadził trymfującego Henryka, mówiąc z pochlebstwem:

— Kochany panie... mamy pośród siebie sławnego Derstala.

W tejże chwili stanęła przed nimi panna Vermeil z płcią przyciemnioną, ze złotemi obrączkami w uszach, w tunice niebieskiej, przepasanej kwiecistemi lianami. Pieszczotliwem wejrzeniem i uśmiechem powitała Derstala.

— Przyszedłeś dodać nam podniety oklaskami twymi, kochany mistrzu — rzekła — dobrze zrobiłeś. Kiedyż jednak pozwolisz mi śpiewać w twoich operach?

— Jakby nie wiedziała, że spotyka ją ta przyjemność dziś wieczór... — szepnął filuternie Bouchot do ucha dyrektorowi.

Ten ostatni spojrzał z niezadowoleniem na swego podwładnego, a biorąc Henryka pod rękę:

— Zaczynamy zaraz — oświadczył. — Pozostaniesz w moim gabinecie, kochany panie, czy też zejdziesz na salę?

— Na salę? Nie chcę — odparł Henryk, blednąc — wolę tu zostać.

Sygnał trzykrotnego uderzenia rozległ się wśród ciszy zupełnej, potem Vogler dał pałeczką znak i zabrzmiały pierwsze dźwięki introdukcyi. Chórzyści stanęli w szeregu, a Derstal znalazł się za kulisami wobec szwagra, zaciskającego nerwowo ręce, i Fromageota, szafującego entuzyazmem opłaconego hojnie dyrektora:

— Zachwycające! Co za koloryt! Jakby się widziało sawany Ameryki... teraz niby lekki powiew wiatru... tu znowu szept Mechacebejów...

Derstal, podrażniony, zwrócił się do Henryka:

— Do widzenia... idę udzielić wieści o tobie matce i Suzy... Bądź dobrej myśli.

Gdy wchodził do korytarza, sąsiadującego z orkiestrą, ujrzał grupę mężczyzn, rozmawiających ze sobą. Poznał Clémenteta, krytyka dziennika *Boulevard*, i Trilby'ego, pod przybraną formą paradoksów ukrywającego prawdziwą znajomość muzyki; zdolny był rozbić partyturę pociskami swoich kalamburów.

— Idziemy na salę? — zapytał Clémentet.

— Byliśmy już zmuszeni połknąć całą dozę próby generalnej, nie strawilibyśmy drugiej podobnej dawki.

— Obawiam się, iżby zachwyt mój nie odurzył do reszty Chactasa — rzekł Trilby — wolę krzyknąć odrazu: stój!

— Zachowaj swój dowcip na sprawozdania dziennikarskie, mój stary — upominał Clémentet, wzruszając ramionami — zużywasz dla nas bezowocnie werwę swoją.

Dochodziły do ich uszu oderwane ustępy muzyki.

— Słuchaj, to zapożyczone od papy Aubry. Dlaczego nie skorzystali z prawa, znoszącego kongregacye, aby usunąć tego mnicha ze sceny?... *Sol, do, do, la*... nie przypomina ci to Masseneta?

— Dawniej wszędzie odnajdywałeś Gounod'a, teraz znowu Masseneta. Chodź lepiej posłuchać Jenny Vermeil... jeśli nie pieści mile uszu, to jednak pociąga oczy rozkosznie.

Przeszli do sali, a Derstal otworzył drzwi loży.

— Co porabia nasz kochany Harry? — pytał Brandon, ustępując miejsca zięciowi.

— Trochę zdenerwowany, ale to przejdzie prędko! Jakie zauważyliście wrażenie u publiczności?

— Duet Ataly i Chactasa był bardzo efektowny. Widzisz, biją brawo!

Śpiew solowy Jenny Vermeil pięknie pomyślany, z doskonałym akompaniamentem orkiestry, ułożonym przez Derstala, wywołał u widzów objawy zadowolenia. Oklaski rozległy się w całej sali, a na galeryach wołano „bis" zawzięcie. Jenny Vermeil kłaniając się przed publicznością z wdziękiem, ukazywała pulchną szyję, dyszącą rzeczywistem, czy też udanem wzruszeniem. Vogler dał znak orkiestrze, a śpiewaczka rozpoczęła ponownie aryę. Gdy ubawiony tem Derstal, wychylił się, spoglądając na scenę przez ramię żony, rzucone na niego z loży pierwszego piętra wejrzenie, niby błysk piorunu, zmusiło go podnieść głowę i na jedną sekundę wzrok jego skrzyżował się ze wzrokiem Ewy; w jej ciemnych oczach, powiększonych doznanem wstrząśnieniem, wyczytał boleść, wstyd, wyrzuty, radość. Porzucona kochanka zdawała się mówić: „To ty! obok kogoż cię odnajduję! Jakże czarną odpłaciłeś mi niewdzięcznością, a mimo wszystko jakie gorące uczucie żywię jeszcze dla ciebie!" Dojrzał łzy w jej oczach; Ewa z pełnym godności smutkiem pochyliła głowę i cofnęła się w głąb loży. Derstal drżący, blady, odczuł uścisk dłoni Zuzanny, która szepnęła mu do ucha:

— Widziałeś ją? Spoglądała na nas!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Ludwik Masłowski**. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.